

Strony internetowe Roberta Kolebuka

✉ [kolebukr@poczta.onet.pl](mailto:kolebukr@poczta.onet.pl) ✉

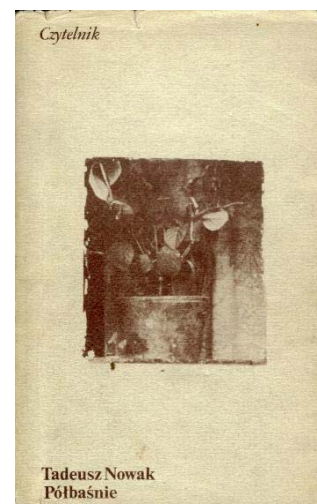


# Tadeusz Nowak

## Półbaśnie

Warszawa 1976, "Ludowa  
Spółdzielnia  
Wydawnicza"

Okładka wydania I z roku  
1976. Okładkę projektował  
Wojciech Freudenreich.  
Nakład: 10 000 + 305 egz.



Okładka wydania II z roku  
1986. Okładkę projektował  
Wojciech Freudenreich.

### Oto kompletny spis treści tego zbioru:

- [Rzecz o chlebie](#)
- [Rzecz o duszy](#)
- [Rzecz o kapeluszu](#)
- [Rzecz o końskiej rozmowie](#)
- [Rzecz złodziejska](#)
- [Rzecz o Wybitnej Osobie](#)
- [Rzecz o kłótniach](#)
- [Rzecz o świńskich sprawach](#)
- [Rzecz o znajomku](#)
- [Rzecz o chłopskim szczęściu](#)
- [Rzecz o księdze łowów](#)
- [Rzecz o czarnym baranie](#)
- [Rzecz o Adamie](#)
- [Rzecz psia](#)
- [Rzecz o archanielu](#)
- [Rzecz o leżeniu](#)
- [Rzecz o poszczeniu](#)
- [Rzecz o rachunkowym zeszycie](#)
- [Rzecz o jedzeniu](#)
- [Rzecz o Franku Abisyńczyku](#)
- [Rzecz o rzece](#)

- [Rzecz o trawach](#)
- [Rzecz o przepoczwarzeniach](#)
- [Rzecz o Józku Przodku](#)
- [Rzecz o spowiedzi](#)
- [Rzecz babska](#)
- [Rzecz o Jakubku samym](#)
- [Rzecz o siedzeniu przy oknie](#)
- [Rzecz o chorobach](#)
- [Rzecz o Jakubkach wielu](#)
- [Rzecz o sennej wiklinie](#)
- [Rzecz o głuchocie](#)
- [Rzecz o gadułach](#)
- [Rzecz o samotności](#)
- [Rzecz o wypasaniu](#)
- [Rzecz o radościach](#)
- [Rzecz o fanaberiach](#)
- [Rzecz o czarownicach](#)
- [Rzecz o wysiadywaniu](#)
- [Rzecz o bajdurzeniu](#)
- [Rzecz o drewni](#)
- [Rzecz o raju](#)
- [Rzecz senna](#)
- [Rzecz o wyłączeniu](#)
- [Rzecz o ciekawości](#)
- [Rzecz o ciszy](#)
- [Rzecz osypująca się](#)
- [Rzecz o chodzeniu](#)
- [Rzecz o graniu](#)
- [Rzecz o skrzypcach](#)
- [Rzecz o psach](#)
- [Rzecz nudna](#)
- [Rzecz o zapachu](#)
- [Rzecz o oczach](#)
- [Rzecz o śladach](#)
- [Rzecz pokraczna](#)
- [Rzecz słoneczna](#)
- [Rzecz listowna](#)

## Rzecz o chlebie

- Kiedyś, gdy zapytano dziadka Roztropka, kto rządzi chłopem, odpowiedział: - Pewnikiem nie rząd, jeno chleb. On, chleb, prezydentem naszym jest, wodzem najpierwszym, królującym nieustannie na naszym stole i we wnętrzu naszym, wiecznie chleba spragnionym. Gdy prezydenta naszego, chleba, zabraknie, rozprężenie nastaje, Chaos, którego nie jest w stanie opanować ani pacierz codzienny, ani kościół śpiewający na kolanach, ani procesja idąca przez pola od rana do zmierzchu. Bez chleba skuczy w nas wszystko, wyje wilczo, rozłazi się jak sparciła koszula noszona zbyt długo na plecach, sprana do imentu. Pustki po chlebie nie zastąpi ani głos sołtysa, ani mowa wójta, choćby była wydumana po nocach, poukładana z takich słów, o których tylko ludzie najstarsi wiedzą.

Stąd nasze chłopskie nieustanne chodzenie za chlebem, zapobiegliwość, modlitewność naszych uczynków sprawiających, że on, powszedni prezydent, zjawia się na naszym stole gorący, gotowy na przyjęcie co tylko zrobionego masła, soli czarnej, garnuszka mleka wyniesionego z piwnicy mrożnej. Można przeto powiedzieć, że zakochani jesteśmy w naszym prezydencie powszednim. Czczymy go i wielbimy bardziej od obrazów świętych, co obserwatorowi postronnemu może się wydać rzeczą przesadną. Ale przecież kult kultowi nierówny. Chleb, naszego prezydenta chłopskiego, szanujemy nie tylko z nawyku wieloletniego, z przymusu. Okazujemy mu nasz szacunek i nasze przywiązanie dlatego, że jest on naszym władcą naturalnym, nieprzeciwnym naszej naturze, naszemu rozumieniu świata i żywota ludzkiego.

Przypominam sobie, jak dziadek Roztropek, nasz patriarcha wiejski, do którego pielgrzymowano z odległych wsi jak do pustelnika świętego, siadywał pod sadem przy stole, na którym leżał większy niż koło od wozu bochenek chleba. Otoczony ludźmi, wstawał od stołu i biorąc bochenek do rąk podnosił go wysoko nad głowę, błogosławiąc nim wszystkich i wszystko. Dopiero wtedy sięgał po nóż i dzieląc na wiele kromek, rozdawał go czekającym pod sadem ludziom. I słynny był w okolicy chleb dziadka Roztropka. Pod kromki dzielone nożem zrobionym z kawałka kosy, podobno tej, którą dzierżył ongiś Bartosz Głowacki, podkładano życzenia najświętsze, na jakie może się zdobyć człowiek wiedzący, co to przednówek, co to kołacz weselny, co proszalna kromka pod kościołem i kromka użebrana w wędrówce po całej okolicy.

Może dlatego, gdy zmarł dziadek Roztropek, odprowadzający go na cmentarz nieśli w rękach małe bochenki chleba co tylko wyciągnięte z pieca. Nieśli, śpiewali psalmy, a gdy dziadka Roztropka oddano ziemi, matce naszej cierplivej, usypali z tych bochenków nad piaskiem chlebowy pomnik, żywy jeszcze, bo oddychający małymi obłoczkami pary. I jak daleko sięga nasza pamięć kmieca, nikt w okolicy nie miał takiego wieńca, takiego pomnika, jak

**dziadek Roztropek. Nikt by się zresztą nie odważył kłaść na ziemię chleba żywego. Zrobiono to tylko jeden jedyny - raz dla Roztropka, jako że wielbił on naszego prezydenta codziennego, czcił naszego wodza prowadzącego nas do boju na pola i na łąki. Wiedziano bowiem, że tylko na grobie dziadka Roztropka chleb nie obrazi się na wieś, nie popęka i nie zacznie broczyć.**

**Po śmierci dziadka Roztropka nikt we wsi i całej okolicy już tak nie czcił i nie wielbił chleba. Było go zresztą coraz więcej. Teraz, gdy od czasu do czasu wybieram się na przechadzkę po wsi, żeby zobaczyć, jak ludzie się budują, zdarza mi się co parę kroków spotykać kromki chleba wyrzuconego przez okno na drogę, leżącego całymi glonkami na podwórzu, chleba, którego nie chwytają się ani kury, ani psy drzemiące pod cieniem okapu. Podnoszę te kromki, otrzepuję z kurzu i kładę na kołkach płotu. Może dojedzą je ptaki przelotne, a może nasycą one tych, którzy za żywota swojego nigdy do syta chleba się nie najedli. Czasem przykładam kromkę do oczu i widzę, jak ludzie żytni i pszenney wysiłał się w bitwie z chwastami, z kamieniem polnym, z powodzią, z plagą myszy, żeby się znaleźć na stole i zaśpiewać nam najstarszą pieśń, jaką znamy.**

**Pamiętam, jak za moich młodych lat czczono naszego króla i pana, prezydenta chłopskiego, wodza kmiecego, chleb. Wprawdzie nie malowano jego portretów, nie noszono feretronów z jego wizerunkami, nie śpiewano mu pieśni i nie znoszono w daninie jagniąt, koźląt ani kosztowności rozmaitych. Taka cześć, taki szacunek byłyby zbyt pospolite. Nigdy nie zapomnę mojego rówieśnika, kompaniona z tułaczki nad Piawą, który dla chleba miał cześć prawie bałwochwalczą. Wstawał skoro świt i wchodził do stajni, wynosząc z niej na łopacie, na widłach krowi placek po placku, końską kulę po kuli, łajno świńskie i kurze. I składał to wszystko ostrożnie, z nabożeństwem na kopce, jakby skąpiec przeliczał monety miedziane, srebrne i złote. I nie zdarzyło mu się, żeby sobie pozwolił na luksus pański, prawie książęcy zostawienia własnego łajna w wiklinie, w przydrożnym rowie, w lesie. Sparty, z obłędem w oczach gnał z kościoła, z jarmarku, z łąk, żeby ulżyć jestestwu swojemu w oszalonej wygodce.**

**Nic też dziwnego, że chleba w jego domu nigdy nie brakowało. Można powiedzieć, że chleb przywiązał się do niego i chodził za nim jak pies na smyczy. No, ale nie każdego stać na taką cześć dla chleba. Zdarza się, że człowiek się zapomni, że jest miękki w sobie i nie doniesie do domu, co donieść powinien. Sam wiem o tym najlepiej, bom miękki w bebeczu i on, bebecz, rządzi mną swoim prawem. To i nie mam żalu do tych, którzy kucają po rowach, po zastodolu, wystawiając na zgorszenie ludzkie swoje zwierciadła, w których nikt i nic nie powinno się przeglądać. Gorzej, jak jestestwem ludzkim, tajnością człowieczego wnętrza rządzi zberezeństwo, złośliwość i głupota. Wiem, bo wzrok mam jeszcze dobry i widzę, jak ludzie, idący do kościoła ścieżką koło mego domu, kluczą po niej, skaczą, kołem obchodzą, jakby ona była zapowietrzona, jakby co chwilę na niej spotykali wyłazającego z czeluści piekielnych kusego.**

Takie są starania koło chleba, prezydenta naszego powszedniego, wodza wielkiego, od rozkazów którego zależą wszystkie bitwy nasze zwycięskie. Tym większy mój żal do Jantoski mojej, którą przez pół wieku uczyłem szacunku dla naszego gościa najmilszego i nie mogłem nauczyć. Zdarzało się, zbyt często się zdarzało, że nie napaliła jak potrzeba w piecu na przyjęcie jego, nie namaściła go wodą, pożałowała ustom jego serwatki i maślanki, odmówiła mu krzątania pilnego, pogadując w najlepsze z kumami pod sadem, pod sklepem. Wtedy on, chleb, mścił się na nas wszystkich, a zwłaszcza na dzieciach naszych. I musieliśmy go jeść z zakalcem, z odstającą skórką. Czasem znowu mundur na nim był tak spieczony, że połowę wyrzucało się w pomyje dla święt.

On, chleb, wódz nasz kmiący, lubi nie tylko popić sobie dobrze, ale również poleżeć wygodnie. Nie wolno go przeto kłaść wprost na ceglach rozpalonych, na węglach nie wymiecionych do perzyny. Trzeba mu umieć dogodzić, uszykować dla niego takie posłanie, żeby przez sen w ogniu rósł bardziej niż na drożdżach. Jako wódz nasz kmiący, chleb najbardziej lubi poleżeć na dębowych liściach. Nic też dziwnego, że zdjęty z dębowych liści, paraduje przed nami, jakby szedł na defiladę cesarską, jakby za chwilę miał dostać z rąk cesarskich największy order. Pyszni się przed nami, podzwania ostrogami i saltuje nas wiedząc, że to nasza zapobiegliwość sprawiła, iż cieszy oczy cesarskie.

Wybaczcie mi, że wam o tym wszystkim opowiadam i że na tę wieczorną rozmowę przyniosłem bochenek chleba. Większość z was już nie wie, jak wygląda chleb prawdziwy, ten, który królował na naszych stołach, koło którego chodziło się na paluszkach i śpiewało mu przez parę godzin pieśń wyjętą spod serca. Chciałbym ten chleb podzielić między was nie dlatego, że jesteście głodni i że sam, choć mi już sił nie starcza, go upiekłem. Raczej dlatego, żebyście pamiętali o tym, co ongiś powiedział dziadek Roztropek. Bo co by się nie rzekło, on, chleb, pozostanie dla nas prezydentem naszym codziennym, wodzem najmilszym, snem nigdy nieprześnionym. Amen.

[Spis treści](#)



## Rzecz o duszy

Ongiś skrzypkowie zawołani, prymiści, sekundziści, umiejący na jednej strunie zagrać majowego słowika, kukułka, jak również cichszy od porannej mgły pacierz, a na czterech strunach całe wesele, cały festyn, powiadali, że ze skrzypiec można wyjąć duszę. W tym celu wystarczyło wziąć srebrny drucik od włosa cieńszy, rozżarzyć go w ogniu i przekłuć nim siedem razy pierś skrzypiec, aby z nich raz na zawsze uleciała mniejsza od mysiego pisku dusza. A gdy ze skrzypiec uleciała dusza, nie pomagało smarowanie smyczką kalafonią, nacieranie gryfu żywicą, wkładanie całych skrzypiec do pszczelego

ula lub zostawianie na noc w koronie kwitnącej lipy. Skrzypce albo milczały, albo popiskiwały jak garść chomików wykopanych z ziemi, jeszcze gołych i ślepych. Próżne były wszelakie starania. Do takich skrzypiec najlepiej było przywiązać wapienny kamień i wrzucić je do studni czy też na dno rzeki. Tam przynajmniej miały z nich pożytek kumkające żaby, pijawki i chwast rybi.

Opowiadający prymiści pokazywali na zerwanej trawce, że ta skrzypcowa dusza była nie większa od komarzej nóżki, od nocnego światła zaproszonego w mysiej jamce. Dziwiliśmy się razem z nimi, że taka odrobina potrafi grać, zmuszać do tańca, pobudzać do śpiewania, potrafi sprawić, że nawet człowiek wyschnięty w sobie na wiór z żalu uśmiechnie się, nogą tupnie do taktu, kieliszkiem się trąci z kumem. Wierzyliśmy im, bo sami widzieliśmy skrzypce niby to całe, gdy się je trzymało pod słońce, a bezduszne, nie wydające żadnego głosu, jakby je zalano woskiem na plebanii. Sami trzymaliśmy w takich skrzypcach-niemowach przed wiecznie głodnymi dziećmi mak na placki.

Jeszcze dawniej zdarzało się, że również z człowieka wyjmowano duszę. Dusza ludzka wprawdzie była większa od skrzypcowej, ale równie delikatna, jak spodnia strona podbiału, mech odtajały spod lodu, westchnienie myślącego o czymś słodszy niż wiśnie. Duszę z człowieka wywlekało się trochę inaczej, chociaż też za pomocą srebrnego drucika. Musiał on być nieco dłuższy, cieńszy od drucika służącego do wywlekania skrzypcowej duszy i musiał być zrobiony z dziesiątki skradzionej z kościelnej tacy. Zakrzywiało się go na końcu w mały haczyk i gdy człowiek spał, zmorzony utrudzeniem całodziennym w polu, na sianie, pod sadem, podchodziło się do niego boso na palcach i czyhało na jego westchnienie mimowolne. Właśnie w to westchnienie wbijało się srebrny haczyk i ostrożnie, włos po włosie, wywlekało się z niego duszę. Trzepocącą się na haczyku, mokrą jeszcze od snu, od rozmarzenia, wieszalo się na osice, żeby się zeszcła na pajęczą nitkę, na pył drobny. A gdy się zeszcła, ucierało się ją o północy w moździerz i dawało z pomyjami wieprzom, krowie, koniowi. Wtedy ludzie we wsie powiadali: - Patrzcie, patrzcie, jak się to Maciejowi przydarzyło. Taki był z niego akuratny chłop, taki silny cieleśnie i na rozumie, a teraz wieprz, krowa, koń od niego mądrzejsze.

Stąd też po wsiach naszych, po miasteczkach tylu ludzi bez pomyślunku cielesnego i dusznego. Kupisz od nich wszystko za grosz, oszwabisz ich, ocycanisz. Sam na własne oczy widziałem, jak pokazywano im dziejące się na niebie baśnie rozliczne, jesienne opowieści, a oni wytrzeszczali oczy, paluchami wskazywali, krzyczeli: - Oooooo! Oooooo! - i upijali się z tych widzeń, turlali się pijani i radośni po wiosennym błoniu, po kopnym śniegu. Zabierano im wszystko, wyjąwszy bydło i pole, a oni śpiewali dziękczynne pieśni, zaścielali drogi kwiatami, wieszali wieńce na płotach.

Aliści były to tylko psikusy bezecne, nawet bezmyślne, można rzec, nie czyniące wielkiej szkody. Bywało gorzej, gdy taką duszą wywyleczoną z człowieka handlowano na jarmarku sprzedając ją na przednówku za korzec

przenicy, ciele, podrośniętego cycaka. Kupujący zjadał ją bowiem zazwyczaj z odrobiną ugniecionej ośródkę chleba i odtąd miał w sobie dwie dusze. Swoją, czystą, nie skalaną złodziejstwem, rozbojem, wszeteczeństwem, gotową do rozliczenia się z władzą na niebie i na ziemi, i tę kupioną, która przejmowała na siebie wszystkie jego grzechy, zberezeństwa, a nawet morderstwa. Jakoż tylko ona szła do wielkanocnej spowiedzi z kartką, w nią, gdy ją przydybano na kradzieży, rzucano kamieniami, ją bito podkulkiem, ją też wieszano na więziennym podwórku w powiatowym mieście, gdy kogoś dziabnęła siekierą przez łeb lub dźgnęła majchrem między żebra. Tymczasem ta dusza czysta, oczekująca w ciele na zbawienie wieczne, szła przed oblicze Pańskie bieluteńka jak skrzydło, które się otarło o poranny sen.

O tych duszyczkach zmarnowanych, sprzedanych za grosz byle jaki, za garść mąki, garniec grochu śpiewa się teraz pieśni zimowe. One, bielsze od piór ptasich, oświetlają nam ciemne noce przy darcu pierza, łuskaniu grochu, milczące noce przy zapalanej lampie naftowej. Pełno tych duszyczek błakających się jako ćmy, popiskujących za krokwiemi, w dziurach wywierconych przez korniki, w dziurach po zardzewiałych gwoździach wyjętych z progu. Jakbyś, człowieku, chciał uważać na nie, żeby ich nie nadepnąć, nie rozgnieść, nie doszedłbyś do chleba, nie mówiąc o jarmarku, weselu czy też odpuście.

Pamiętam, jak po naszej okolicy, słynącej z wywlekania duszy ze skrzypiec i z człowieka, wędrowali nie tak dawno ludzie, którzy przyjechali nie wiadomo skąd. Jak ongiś za miodem, za makiem, za pieśniami przysypanymi niepamięcią, szli od domu do domu i wypytywali o podsuszone na osice dusze ludzkie. Ten i ów z naszej okolicy przypomniał sobie, jak jego dziad czy też pradziad wywlekał duszę z sąsiada, czyhał teraz ze srebrnym drucikiem, zakrzywionym akuratnie w haczyk, na śpiących na miedzy, na stryszku, w uchylonych stodołach. A wywlektszy je z ciał i wysuszywszy ledwie co na osice, sprzedawał za grosz znaczny. Co sprytniejsi nie starali się nawet o wyjazd do Ameryki, tylko całymi dniami i nocami chodzili po wsi i czyhali na śpiących, na mniej wytrzymałych. Dorobili się też domów piętrowych, kamiennych obór, samochodów stojących w drewni, czekających na welon ślubny córeczki, córeńki dorastającej śpiewająco.

W końcu doszło do tego, że mój dziadek, który lubił się zdrzemnąć pod sadem po obiedzie, w stodole, na skoszonej świeżo łące, brał ze sobą psa. Brał ze sobą naszego Burka, wbijał kołek w ziemię i przywiązywał zwierzaka, żeby go pilnował przed handlarzami dusz. A gdyśmy go pytali, czemu dobrowolnie, jak inni, za sporą opłatą, nie godzi się na sprzedanie duszy, odpowiadał: □ Czemu nie? Mógłbym jedną sprzedać. Jakoż wedle krajana naszego, wielkiego działacza ludowego, mędrca niegdysiejszego, Jakuba Bojki, mam je dwie. Bóg litościwy, widząc nędzę naszą kmieć, ponieważ, nie mając już czym nas wywianować, dał nam dwie duszyczki. Jedną codzienną i drugą niedzielną. Ale ani Bóg, ani Bojko nie powiedzieli nam, która jest codzienna, a która niedzielna. Nie rzekli też, która z nich jest dawna,

pańszczyźniana, a która nowsza, dana nam czy też dodana litościwie przez Stwórcę. To i ja nie wiem, która z nich jest pokorna, a która rogata, gotowa chwycić za kij i za widły, prawdziwie chłopska, nasza. A jak handel, to handel uczciwy. Nie sprzedam przecież duszy pańszczyźnianej. Ona już dość się natrudziła. Ona cała w sińcach od pięści, od kamieni, od ekonomicznego kołka. Nie przehandluję też tej drugiej duszy, bo psem na starość nie останę ogryzającym kość i kość.

Można przeto rzec, że z tej niewiedzy, z tego rozdarcia, dziadek nasz, jako jeden z niewielu we wsi, ostał się z duszą. Ba, nawet z dwiema. A mógłby przecież jedną sprzedać i dom chylący się ku upadkowi poprawić, parę tysięcy złotych wnukom swoim odpalić na motocykle śmiglejsze od jaskółki. Żal takiego dobra marnującego się w ciele już niemłodym, które lada dzień wywiezie się na furce i ziemią, na wspominki nocne ludzi starszych, nie mogących sypiać w wieczory jesienne, zasypie się na amen.

## [Spis treści](#)



## Rzecz o kapeluszu

- Kapelusz. Chłop bez kapelusza jest jak koń bez podkowy. Niby idzie, a nie słychać go, rozmawia z sąsiadem, a sąsiad rozgląda się po sadzie, jakby ktoś do niego mówił z rdzenia jabłonki, z gruszkowej dziupli, skąd wyglądają ledwie opierzone, z żółtymi zajadami na dziobach kosy. Niby jest, bo przecież nie stał się sikorką skaczącą po gałązce, zieloną gąsienicą pełznącą po liściu, liściem prześwieconym przez słońce do ostatniej żyłki, nie stał się boćkiem klekocącym na kalenicy domu, padalcem rozrywany przez młode bocianięta, ropuchą wyglądającą z dziury po cegle wykruszonej z podmurówki, tą dziurą, przez którą nie widać nic prócz sypiącego się piasku; a jakby się rozplątał w powietrzu, jakby go wessały wiosenne niebiosy, połknęła krowa przeżuwająca nabożnie czerwcową łąkę.

Kapelusz. Filcowy kapelusz, zrobiony z króliczej, z zajęczej sierści. Wymiętoszony, przypominający wzdęty zakalcowato bochenek, ten noszony na co dzień, formowany na głowie w zależności od wykonywanej pracy, od siedzącego w człowieku widzimi się, od ślepego losu czy też od jeszcze bardziej ślepego przypadku. Kapelusz z załamanym na oczy rondem, kiedy się wychodzi z płachtą pełną zboża w zaorane pole. Osłaniający źrenice przed wschodzącym lub też zachodzącym słońcem, żeby było widać każdą grudkę ziemi, każde ziarnko rozsypujące się gwiazdźcie.

Kapelusz z rondem podwiniętym w czasie żniw, gdyż wiadomo, że ręce ułożone do kosy nie popuszczą jej dalej niż na pokos. Chodzi sobie jako pies na rzemieniu i ani o piędź, o szczyptę nie odskoczy od ręki. Nie spłoszy jej słońce świecące prosto w oczy, nie ulęknie się ona skaczącego w zboża



szaraka, kuropatwy śmigającej z pogwizdem jak armatnia kula, dzięki świni pochrzakującej i kwiczącej, jakby z ciebie proboszcz jakimś cudem najtajniejsze z najtajniejszych przewiny wywlekał.

Kapelusz. Filcowy kapelusz, wyświechtany od dłoni utyłanych w glinie, w żywicy przy szczepieniu drzewek, w miodzie przy wycinaniu z ula plastrów, w śluzowatym łożysku przy przyjmowaniu na podolek nowo narodzonych zwierząt. Z bruzdą idącą przez środek, wylamaną dłonią twardą jak deska, z bruzdą na krzyż, podłamany delikatnie w trójkąt, wypchany na kolanie w garnek, wgnieciony pięścią do środka.

Jeszcze nie tak dawno, może przedwczoraj, może wczoraj, przyniesiono w nim z budy co tylko oszczenione psięta. Wylizane przez sukę do sucha, ślepe, z kropelką suchego mleka na pyszczakach, wiercą się w kapeluszu położonym na stole obok rozkrojonego chleba, obok mleka świeżo udojonego, popiskują, obwąchują wytarganą podszewkę, próbują się z niego wygramolić do tego człowieka stojącego nad nimi z gołą głową, więc prawie nie istniejącego, który w tym wszechobecnym dla nich nieistnieniu decyduje teraz o ich losie.

Sztywną ręką, na poły gliniastą, wybiera dwa, najwyżej dwa szczenięta, najżywsze, z grubymi łapami, z czarnym podniebieniem, spośród pięciu, gdyż dla wszystkich nie starczy suchego mleka ani krowiego. I te dwa burki czy też kruczki, odnosi z powrotem do budy, wsadza je pod rozdęty, mokry od mleka suczy brzuch. I patrzy jeszcze chwilę, jak suka je liże skomlać z radości, a one popiskując piją z jej wymienia, krztuszą się i znowu piją zachłannie. A wracając do domu bierze kapelusz ze stołu z trzema pozostałymi szczeniętami i niesie go w rękach nad pobliski staw, nad pobliską rzekę. I dopiero gdy pusty już kapelusz wciska na głowę aż po uszy, gdy załamuje ze wszystkich stron wyświechtane rondo, słyszy, jak poza nim skomli staw i skomli rzeka. A to skomlenie jest już w jego krwi, w ciele, gdyż on istnieje, bo wdział na głowę kapelusz, i nie ma nawet co marzyć o nieistnieniu bez kapelusza w drodze przez wieś, na ścieżce prowadzącej do domu. A poza nim do czerwieni smaga się witka po witce rokicina, do stęknięcia w podskórnych źródłach bijących w ziemi urywa się największy dzwon z kościelnej wieży, do wirujących tęczowo kół topi się obraz niesiony w procesji. Żeby tego wszystkiego nie widzieć, można skoczyć do gliniarki wypełnionej wiosenną wodą, wytaplać się w niej do utraty tchu, do głuchoty w uszach i do głuchoty w duszy, ale tak robią tylko dzieci, które zepsuły młynek do kawy, stłukły parę jajek niesionych w chusteczce do sklepiku.

Kapelusz. Filcowy kapelusz. W nim jajka wybierane spod kur, kaczek, gęsi, indyków. Kapelusz wypełniony po rondo oliwkowymi jajkami czajek, kremowymi łysek i cyranek, zielonkawymi krzyżówek. Kapelusz, z którego kurczęta wydziobują kawałeczki twarogu, a jagły co tylko wylęgnięte z jaj znalezionych przy żniwie kuropatwy i wykluwające się bażanty. I jeszcze ten kapelusz, w którym jednej wiosny przyniesiono zwiniętego jak ogromny pierścień zaskrońca, zamierającego ze strachu zajączka, jeża dźwigającego

na grzbiecie jabłko, to jabłko z raju? a może małą planetę? gwiazdę spadającą po śmierci dziadka? Kapelusz, ten kapelusz idący sam ze stodoły, z podmokłej łąki, z kłoszących się pól, z lasu rozchylonego łokciami na prześwit, niesiony \przez niewidzialne ręce niewidzialnej istoty, bo przecież bez okrycia na głowie, to rozlegające się nad nim śpiewanie, panoszący się śmiech, wieczorna modlitwa, że wreszcie będzie jajecznicza, że będzie się można najeść do syta.

Kapelusz. Filcowy kapelusz, stojący na stole uroczyście jak narzeczona, jak mirt w doniczce, gromnica na oknie porysowanym przez błyskawice. Kapelusz pełen zerwanych tuż przed przymrozkami jabłek, złotych renet, odkopanych przypadkowo z siana dawno zwiezionego. Można podchodzić do niego, sięgać łapką zaczerwienioną od mrozu, podrapaną przez koty, pogryzioną przez psy, podziobaną przez kury, można wyjąć jabłko, większe w radości od planety, od wnętrza kościelnego, i schować je za siebie, i czekać póki się nie zagrzeje w dłoni, póki nie odtaje z niego cudowny zapach rajy i Wigilii.

Kapelusz. Filcowy kapelusz, załamany fluternie na bok, można rzec, wesół, radosny. Czyściutki, wyszczotkowany, z włosami szczesnymi w jedną stronę, żeby bił od niego blask, jakby co tylko zdjęty z kwitnącej wisienki, podniesiony z zielonego mchu. Świąteczny kapelusz, w którym się idzie do kościoła, jeździ do miasta, w którym się chodziło do dworów, chodzi nadal do urzędów. Gdy się ma ten kapelusz na głowie, gdy się go trzyma w rękach, zawsze przy nim czy też pod nim widać człowieka. Rozmawiającego przed kościołem z sąsiadami, siedzącego w ławce, zapadającego w drzemkę przy organach śpiewających, że je zakupiono tam, za Wielką Wodą, gdzie rodzą się dolary, po które wypadałoby się wybrać, gdyż dzieci kilkoro.

Widać człowieka idącego przez dworski park, miętoszącego z bojaźni ten świąteczny kapelusz w co tylko z tej okazji mytych rękach, stojącego przed dziedzicem, który akurat wybiera się ,do miasta i na laseczce podrzuca pluszowy cylinder. Wysiadującego po urzędach z kapeluszem niecierpliwie obracany w dłoniach, oglądającego przebiegających korytarzem urzędników, wyciągającego zza wstażki jedwabnej "czerwońca", "górala", wskazującego nim niby to mimochodem na koszyk, z którego wyłazi kielbasa, szynka, głowa świeżo mytej gęsi, kaczkę, indyka. Stojącego przed rozkopaną ziemią, w której widzi się tylko ucięty i jeszcze krwawiący korzeń osiki, a nie widzi się ani malowanych desek, ani dobrodzieja śpiewającego requiem, ani wsiąkającego w dziki bez kadzidła. Rozmawiającego z Bogiem, prawującego się z nim o lepszy urodzaj, O znaczniejszy przychówek, o to, żeby żonie wreszcie wywietrzało z głowy tercjarstwo.

Kapelusz. Filcowy kapelusz. A raczej dwa filcowe kapelusze. Codzienny i świąteczny. Znoszący do domu co żywe, co się tylko urodziło, służący do pojenia bydła, do rozżagwiania ognia, kłaniający się wszystkim noszącym jedynie kapelusz świąteczny, żeby obronić to, co się co tylko ulęгло, co zostało przyniesione z pola, z łąki, z lasu. Nie wdzieję ich nigdy. Nie pokłonię

się nimi nikomu. Nawet sobie, gdy jestem sam, gdy jest zgaszone światło, gdy i lustro nie patrzy na mnie jedną z sześciu iskierek utajonych w moich obydwóch źrenicach. Kapelusz. Filcowy kapelusz. Bez niego nie widać człowieka, nie widać chłopca.

## [Spis treści](#)



### Rzecz o końskiej rozmowie

- Ileż radości sprawia nam Wigilia, Boże Narodzenie, Nowy Rok. W Wigilię przychodzą do nas wszystkie nasze domowe zwierzęta, siadają za stołem i, częstując się czym chata bogata, mówią do nas ludzkim głosem. A zdarza się, że rozmawiają z nami długo i uczenie o wszystkich swoich zwierzęcych sprawach, troskach i radościach.

Pamiętam, jak któregoś roku w Wigilię, tuż po północy, zjawił się w izbie nasz stary koń. Usiadł na krześle, wsparł drabiniasty łeb na stole i spoglądając na ojca przymglonymi ze starości ślepiami, jał opowiadać o swoim dzieciństwie pachnącym mlekiem, białą koniczyną, miękkimi kolbami kukurydzy, kostką cukru, grudką soli, majową trawą słodsza niż miód, gdy się przez całą noc chodziło koło matki pasącej się nad rzeką, gdy się cichutko rżało, próbując wypić z Dunajca utopiony na jego piaszczystym dnie ledwie wyrzynający się nów.

Przysłuchując się tej rozmowie, wilgotnej i trawiastej, dowiedziałem się, że nasz stary koń będąc źróbkim marzył o siodle nabijanym złotymi gwoździkami, o srebrnych werblikach, o rycerzu siedzącym na jego grzbiecie. Przymykając zamglone ślepia opowiadał, jak unosił tego rycerza przez bór żywy, przez wiosenny step, przez ziemię kwitnącą na wojnę królewską, cesarską, na świętą wojnę z poganami. Nad nimi przelatywał szary sokół i śmiglejsza od sokoła sława. Wracali z wojny porąbani, ledwie żywi z upływem krwi i sił, ale śpiewający z uciechy, rżący nieustannie.

Ale zanim zbudził się z tego snu, zaprzęgnięto go już do drabiniastego wozu naładowanego sianem, snopkami żyta i pszenicy. Lecz nawet wówczas, cały zmydlony do siódmego potu, z poobcieranymi bokami, z rozdartym przez żelazne werbliki pyskiem, próbował zasypiać w stajni na stojąco i marzyć o weselnej bryczce pomalowanej w czubiące się ptaki, w malwy i w piwonie.

Wówczas poczuł, jak w jego otwarty bok dźgają końcem biczyka, jak wyprowadzają go ze stajni i zaprzęgają do wozu naładowanego po kulbony zaparzoną łajnem. Tych wozów z łajnem było coraz więcej i były coraz cięższe. Jeszcze pół biedy, gdy ciągnęło się je po powiatowej lub po polnej drodze. Jakoś tam było, chociaż zapach zaparzonego łajna, pełnego much i muszek, białych i czarnych robaków, drażnił rozdęte nozdrza, zwał z nóg. Gorzej było, gdy taki wóz trzeba było ciągnąć przez zaorane na wiosnę lub

pod jesień pole. Wówczas żelazne koła wozu grzęzły w rozkistej ziemi po synkle, a nogi zapadały się po pęciny, po kolana. Gdy się po całym dniu wracało o nowiu do stajni, siano rzucone za drabinkę czuć było nawozem, a sieczkę, do której wsypano kwartę owsa, kozimi bobkami.

Zanim sięgnęło się wargą po garść siana, zanim wydmuchało się nozdrzami parę ziarenek owsa z żytniej sieczki, zmęczenie zwałało cię z nóg. Czuleś, bracie, przez sen bez snów, jak zapadasz się w wapienną wodę, w rozkistą glinę, w żelazistą rędzinę czerwieńszą od twojej sierści. A gdy do stajni przez wybite okienko wchodziła jutrznia, próbowałeś się zerwać na równe nogi. Ale nie mogłeś powstać. Nogi popękane w pęcinach, naderwane, zgrubiałe w stawach kolanowych, bok otwarty do kości nie pozwalały ci drgnąć. Leżałeś we własnym moczu i łajnie, póki do stajni po jutrzni nie wszedł gospodarz i nie podniósł cię na cztery kopyta kopniakiem wycelowanym w żywą ranę boku, w zakrwawione nozdrza, w poźółkłe zęby, spomiędzy których wyłaził biały od gorączki jęzor.

Szedłeś wówczas za gospodarzem pod sad cały w wiosennej rosie, przystawiałeś koło kwitnącej jabłonki i czochojąc się a nią marzyłeś, że za chwilę przyniosą od kowala najcięższy młot, zakryją ci ślepią starym kapeluszem i po cichutku, na paluszkach podejdą do ciebie od jutrzni. I czuleś, jak na twój drabiniasty łeb spada ów kowalski młot, jak upadasz na kolana, a z kolan zwalasz się, z jutrzennymi niebiosami, w dzieciństwo swoje mleczne, ledwie prześwitujące przez ciemność żrebięcą gwiazdą.

Przysłuchiwałem się tej końskiej opowieści leżąc na piecu pod baranią skórą. Widziałem, jak do konia siedzącego na krześle, wspartego drabiniastym łbem o stół, podchodzi mój ojciec, odłamuje z bochenka spory kawałek chleba, macza go w soli i podtyka pod końskie wargi. Jak obejmuje konia za szyję i przytula się twarzą do jego łba. Jak po końskim łbie, po twarzy ojca spływa światło naftowej lampy, jak w tym świetle mieszają się z sobą ludzkie i końskie łzy.

Widziałem jeszcze, jak ojciec, obejmując się z koniem, wychodził na ganek, a z ganku do stajni. A wychodząc z koniem mówił doń jakimś dziwnym językiem, całkowicie mi nie znanym. Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że była to zwierzęca gwara, której każdy dorosły człowiek na wsi uczył się na pamięć, żeby raz do roku, w Wigilię, porozmawiać ze swoją chudobą. Ojciec musiał opowiadać koniowi coś bardzo śmiesznego w tej zwierzęcej gwarze, gdyż koń rżał coraz głośniejsze i radośniejsze. Gdy rano zeskoczyłem z pieca, w izbie czuć było jeszcze końskim potem i trawiastym oddechem.

Spisując tę końską opowieść sprzed wielu lat dla naszego wikarego bawiącego się zbieraniem gadek rozmaitych, przypomniałem sobie ubiegłą jesień i mojego znajomka z parafialnej wsi. Od wielu lat był on w naszej gminie działaczem. Wprawdzie wielu ludzi miało do niego żal o to i o owo, ale on ciągle był działaczem. Był tak wybitny i przebiegły, że nie imaly się go żadne zmiany. Wychodził z nich wszystkich coraz weselszy. Jakby przed chwilą wypił kielonek lub objął ramionami cały malwowy ogródek.

Zresztą miał się z czego cieszyć. Zadzwonili w kościele, szedł do kościoła, żeby nieść nad proboszczem baldachim. Urządzano dożynki w gminie, on przemawiał z trybuny do chłopów. Wiecowano, on witał działaczy z powiatu. Dopiero nie tak dawno wezwały go władze z miasta i powiedziały przy wszystkich:

- Słuchajcie, obywatelu, dowiedzieliśmy się, że wy jak ta chorągiewka na dachu. Skrzypicie i skrzypicie. A każdy wiatr dla was dobry.

A nasz działacz na to:

- Jaka tam chorągiewka. Zawsze uważano mnie za człowieka z charakterem. Dopiero ubiegłej jesieni przytrafiła mi się rzecz paskudna, można rzec końska. Poszedłem ja sobie z koniem w niedzielę na łąki podleśne. Spętałem zwierzaka i rozścielając na łące ortalion, a pod głowę kładąc tę oto aktówkę z urzędowymio papierami, zasnąłem. Budzę ja się koło południa, patrzę, a tu zamiast słoneczka nade mną stoi mój koń. Stoi, uśmiecha się i coś przeżuwa. Początkowo nawet wzruszyłem się tym. Pomyślałem sobie, kocha mnie konisko, czuwa nad moim snem, nade mną, nad urzędowymi papierami. Ale pomyślawszy to spostrzegłem, że zamiast trawy w końskim pysku jaśnieje coś dziwnego. Zrywam ja się na równe nogi i cap za ten wiecheć w końskim pysku. Wącham ten wiecheć, oglądam ze wszystkich stron. Trawa, nie trawa. Jakieś to dziwne, niewyraźne. I nie doszedłem wówczas, co to był za wiecheć. Dopiero w parę dni później pojąłem, że mój koń ani chybi, zamiast trawy, wyskubał ze mnie charakter.

- Co wy też powiadacie, obywatelu. Jak koń może z człowieka wyskubać charakter?

- A ja wam powiadam, że wyskubał. Do imentu wyskubał.

- Może powiecie jeszcze, że zaniemógł lub zdechł?

- Stało się jeszcze gorzej, niżby zdechł.

- Jak to gorzej, obywatelu?

- Ta bestia nauczyła się ludzkiego języka i zaczęła chodzić po wszystkich gromadach i chłopów przekabacać.

- I chłopci go słuchali? Może jeszcze powiecie, że koń zaczął chodzić do kościoła?

- A jakżeby inaczej. Pewnie, że chodził. I mnie ze sobą ciągał. A przy koniu, wiadomo, człowiek bardziej rzuca się w oczy. I ludzie to spostrzegli i do powiatu donieśli. Żem niby jak ta chorągiewka. I wy też w to uwierzyście.

[Spis treści](#)



## Rzecz złodziejska

- Bywają kradzieże z potrzeby, bywają ze zbytku. Na kradzieże z potrzeby nawet Stwórca przychylnym okiem patrzy i palcem nie grozi, i nie wpisuje do

księgi wiekuistej pamięci tej winy nijakiej. A dzieje się tak wtedy, gdy człowieka bieda przyciśnie, głód, nieszczęście grożące ciału i duszy mieszkającej w nim z przymusu. Najczęściej dzieje się tak na wiosnę, kiedy jada się korzonki perzu, lebiodę, zajęczą kapustę, co delikatniejsze listki mleczu, bo nie ma co do ust włożyć, bo biała i czarna hostia zboża, w której żywot chłopski mieszka, jest jeszcze za górami, za rzekami co tylko przez lody opuszczonymi. Wówczas wygłodniałego człowieka ręka Boża prowadzi do dworskiego, a nawet do plebańskiego spichlerza i bochenek chleba pod pazuchę mu wpycha, połetek słoniny na plecy zadaje, a na kark zarzuca pół korca pszenicy.

Bywają też jeszcze inne kradzieże z potrzeby, ale o nich trudno powiedzieć, że im patronuje miłosierdzie Boże. Wszelako z całą stanowczością nie można wykluczyć, że Bóg o tych kradzieżach wie i w litości nieskończonej przymyka oczy na nie, zapada w starczą drzemkę, gdy się one dzieją. Jakoż bywają ludzie, których ręce bez ich wiedzy i wyraźnego wewnętrznego przyzwolenia sięgają po sąsiedzką kurę cieplaszącą się w ogródku, po buty co tylko wyglancowane stojące na okiennym parapecie, po pęto kiełbasy wyglądające na świat z okienka omory. I nie ma takiej siły, takich więzów konopnych, żelaznych paści, które by potrafiły spętać te ręce, uchronić je od grzechu.

Gdy byłem dzieckiem, widziałem takiego złodzieja leżącego krzyżem przed wielkim ołtarzem i modlącego się nie do Boga, ale do rąk swoich rozłożących się jak wszy, bez jego wiedzy i przyzwolenia, po cudzym mieniu. Ludzie zebrani w kościele nie pluli na niego, nie szydzili zeń, nie próbowali kopnąć w podbrzusze, zdzielić pięścią przez łeb. Patrzyli na niego przez swoje modlitwy, śpiewane cicho pieśni, i więcej w ich żrenicach było litości niż mściwej nienawiści. Złodziej, leżący krzyżem przed nimi, przed Stwórcą zamkniętym w ołtarzu, przed świętymi fruującymi po kościelnym sklepieniu, modlił się do rąk swoich większych od bochenków chleba, gdyż owe nieszczęsne ręce z każdym rokiem stawały się dla niego Stwórcą, Chrystusem ubiczowanym, prowadzonym gorzej niż na Golgotę, bo na pośmiewisko ludzkie, na wstyd gromadzki spadający z ojca na syna, z syna na wnuka, z wnuka na prawnuka.

Nic też dziwnego, że ów nieszczęśnik zbudował rękoma bożym, a właściwie własnym dłoniom przemienionym w Boga, kapliczkę przydrożną. Miała też ona kształt osobliwy: dwie ogromne dłonie wykute w kamieniu, przewiązane w przegubach postronkiem, zamknięte w stalowe kajdanki, próbujące zerwać z nieba co tylko wstające słońce. Przeważano też ową kapliczkę figurą złodziejską. Pod nią z dawien dawna okoliczni złodzieje zostawiali wsypy po skradzionych pierzynach, uzdy po sprzedanych koniach, piosenki po sławie zmarnowanej w cesarskich więzieniach. Pod tę figurę co bogatsi kmiecie przyprowadzali swoich pierworodnych, żeby zostawiali wójtami, urzędnikami powiatowymi, wikarymi, proboszczami.

Ale bywają też złodzieje ze zbytku. Tych jest najwięcej. Przeważnie są to

synkowie bogaczy, których chleb bodzie i rozpiera. Nie mogą usiedzieć spokojnie, żeby zimą, kiedy rzeki skuje lód, a drogi i dróżki wyrówna zamieć, nie wejść, do cudzej stajni i nie wyprowadzić stamtąd konia, krowy, a nawet kozy podobnej do złotoookiej czarownicy. I sprzedają te zwierzęta za grosz byle jaki, aby go przepić w karczmie, przehulać na weselach i na wyskubkach. I chwalić się przy tym jeszcze potrafią, układając złodziejskie przyśpiewki roznoszące hyr o nich po całej parafii, po powiecie całym. A chociaż Opatrzność patrzy na nich krzywym okiem, a nawet czasem sękatą lagą przez grzbiet zdzieli, krzywda większa się im nie dzieje.

Ale nawet tych złodziei ze zbytku, dokuczliwych dla wsi, nie opuszcza fantazja. Może dlatego opowiada się o nich wieczorami, stula pieśni, przekazuje pamięć o nich z pokolenia na pokolenie. Zdarzyło się ongiś w naszej parafii, że dworskiej stajni pilnował krewniak, mój daleki, też Jakub, człek lichego wzrostu, od szczepu dwuletniego nie większy. Przewano go też starym zwyczajem Ociupiną. Ba, ale w tej ociupinie dusza była spora, mie dająca spokoju żadnemu z członków cielesnych i rozumowi też. Dziadek Ociupina z heblem i ze świdrem przewędrował całą Galicję, Słowację, całą ziemię madziarską i ziemię cesarską. Cudom rozlicznym się napatrzył do woli, gadek rozmaitych się nasłuchał, smakołyków popróbowował, że do tej pory podniebienie jego nie może odróżnić żuru na zającu od żuru na świńskim gnacie. Jemu to nasz dziedzic powierzył pieczę nad stadniną swoją.

A konie w naszym dworze były nad podziw. Gdy szły zaprzężone do bryczki, zdawało się, że w chomąta, w postronki wprzęgnięto siwe wichry nadwiślańskie. Nie dziwota też, że owe dworskie konie wpadły w oko koniokradom zza Wisły. Na przeszkodzie stał jednak dziadek Ociupina. Co ci złodzieje nie wyprawiali, żeby Ociupinę wywieść w pole, oszwabić, uśpić na kilka pacierzy i na wieki. Podrzucali mu palinkę madziarską, śliwowicę słowacką, pejsachówkę toczoną z węgierek sądeckich, wódkę gdańską, siwuchę. Dziadek Ociupina nawet głośniej nie zaśpiewał z pijackiego rozochocenia, nie wylazł ze stajni do swej staruchy na zdrowaśkę, na pół pacierza. Leżał na wyrku zbitym z desek tuż koło drzwi i pogwizdywał sobie przez ostatnie dwa zęby skoczne piosenki śpiewane przez wojska cesarskie, przez madziarskie panny. A rano jak na pośmiewisko odbijały toczące się po niebie słońce wiszące na kołkach dworskiego płotu okrągłe i kwadratowe butelki po wódce.

Tak minęła zima i pierwsze wiosenne miesiące. Wówczas dopiero wypędzono dworskie konie na łąki pełne rosy. Ale nie pilnował ich już dziadek Ociupina, tylko kilku parobków uzbrojonych w dubeltówki. Natomiast dziadek całymi dniami i nocami wylegiwał się na szerokim łożu wyścielonym kożuchami, ćmił machorkę i o życiu różnym powoli rozmyślał.

Spostrzegł to któryś z koniokradów. Czerwcową nocą przyszło ich czterech zza Wisły. Weszli cichutko do izby i wynieśli łożko ze śpiącym Ociupiną pod sad. Jakubek przeciągnął się poczuwszy świeże powietrze, ale się nie przebudził. Widząc to złodzieje z większą śmiałością chwycili za łożko i

ponieśli nad Dunajec. Tu je postavili nad samiutką wodą. Dziadek, poczuwszy przez sen rybny zapach wody, westchnął, przekręcił się na drugi bok i z powrotem zasnął. Złodzieje zdjęli śpiącemu buty, ściągnęli przyodzież i wnieśli łóżko do rzeki. A gdy zakołysało się na wodzie jak Mojżeszowy kosz pleciony z sitowia, pchnęli je leciutko na bystrzejszy prąd. Łóżko zakręciło się na wirze i ustawiając się zagłówkiem w stronę ujścia Dunajca, spokojniutko popłynęło.

Słońce już dawno wstało z nadwiślańskich wiklin i wtoczyło się na lessowe pagórki, kiedy dziadek Ociupina zamamrotał przez sen, przeciągnął się pod pierzyną i otworzył oczy. Patrzy, niebo nad nim wiosenne, od skowronków śpiewające. Uśmiechnął się do tego nieba, ale ledwie to uczynił, zamarło w nim serce. Pomyślał, że ani chybi ktoś nocą ukradł znad niego dach słomiany. Przerażony, usiadł na łóżku. Zakołysało się na wodzie.

- Rany boskie - szepnął Ociupina - to chyba nie złodzieje, jeno trzęsienie ziemi lub wojna cesarska, którą przespałem, rozniosły chałupę i spod łóżka grunt usuwają.

Wybity z wiosennego snu, odrzucił pierzynę i spuścił nogi za łóżko, szukając stopami butów. Ale jak szybko je spuścił, jeszcze szybciej wciągnął pod siebie. Zadrżało w nim serce, zatrwożyło się nad miarę. Dopiero po paru pacierzach Ociupina jął się rozglądać wokół. Jak okiem sięgnąć czerwieniła się wiklina i złociła woda. Ostrożnie się wychylił i spojrzął pod łóżko. Tam też była woda. Pomyślał o powodzi, ba nawet o potopie. I zasmuciwszy się jął klepać zdrowaśki, przebierając palcami jak różaniec kawałek po kawałku kraciastą pierzynę. Wówczas spostrzegł, że na pierzynie jest coś napisane umaczanym w terze patykiem. Jął sylabizować litera po literze. Gdy już wszystkie litery miał w pamięci, odczytał na głos: KRASĆ NIE DAŁEŚ, PIŁEŚ WINO, PŁYŃ DO GDAŃSKA, OCIUPINO.

Wtedy dopiero zaświtało w głowie Jakubka. Uśmiechając się, bo na psotach się znał, skierował rękami łóżko do brzegu. I przywiązawszy je wiklinowymi witkami do krzaka, zabrał pierzynę i poduszkę, kierując się w stronę domu. Gdy przestąpił próg, w misce na stole dymiły już posypane serem kluski.

Następnego roku, tuż po Trzech Królach, złodzieje znowu podrzucili Ociupinie butelkę palinki. Ale widać dosypali czegoś do niej, bo zanim dziadek wstał, w stajni nie było dwóch najdorodniejszych ogierków. Szukano wszędzie: w lesie, na skutym lodern Dunajcu, w sąsiedniej parafii, ale śladów kopyt nigdzie nie było. Na dodatek skradziono również Ociupinie komiśne buty. Śladów tych butów było pełno w wiklinie, na Dunajcu, na Wiśle, za Wisłą, ale nikt nie śmiał Ociupiny podejrzewać o kradzież koni, gdyż ten leżał bez czucia na wyrku.

Dopiero w kwietniu, gdy śniegi zeszły z pól, a lód z Dunajca, znalazły się komiśne buty Ociupiny. Jak nowe, natarte sadłem, błyszczące słońcem, stały na progu domu. Dziadek, biorąc je do ręki, spostrzegł, że w lewej cholewce, tuż pod językiem, jest jakaś karteczka. Rozwinął ją i sylabizując odczytał:



## **CHOCIAŻ JESTEŚ KUTWA KUTA, KONIE POSZŁY W TWOICH BUTACH.**

Poszły i nie wrócili nigdy, jak nie wraca sława utracona, zdrowie zmarnowane, łzy przelane na próżno po szerokim polu. Ostał się jeno Ociupina i ta opowieść o nim na przestrozę dla was, młodzików, żebyście nie wchodzili w sen jak w biały kamień i nie wybierali się w podróż wodną po Dunajcu wiosennie rozlanym, po Wiśle jeszcze szerszej, nad którą mieszkał pan i mieszkał kmieć, i koniokrad mieszkał, o którym śpiewa się piosenki i gadki się plecie w ciemne jesienne wieczory.

### [Spis treści](#)



## **Rzecz o Wybitnej Osobie**

- Byłem w miasteczku. Kiedy to było, nie pamiętam. Może wczoraj, może przedwczoraj, może rok temu, może w dzieciństwie, a może kilka wieków temu. Miasteczko, jakby wyjęte ze snu, z baśni, z wiosennej zieleni przypominającej wiecznie odnawiającą się baśń, szykowało się na przyjęcie Wybitnej Osoby. Na syjących się ceglanych basztach, na ochronnych murach, po których piał się powój, a tuż po nim kozy, a po kozach brodaty czas, powiewały sztandary, różnokolorowe proporce, kościelne feretrony, kwiatowe wieńce, pawie pióra i weselne wstążki.

Na rynku wtulonym w średniowieczne kamieniczki, cichsze od rózańca, popękane jak Bóg w śpiewanym dawno psalmie, prowadzącym wszystkimi uliczkami do rozwartego na oścież gotyckiego kościoła, poustawiano zbite z sosnowych desek stoły, zaścielone białymi obrusami z przyszpilonymi doń gałązkami asparagusa i mirtu. Na stołach dymiło przyszykowane co tylko mięsiwo, faski czerwonego barszczu z uszkami, wędzone szynki ubrane w liść sałaty i pietruszki, pełne koste pytlowego chleba pokrajanego w kromki akuratne.

Obok stołów odszpuntowano kilka beczulek z piwem i siwuchą, jak też kilka baryłek wyciągniętego z piwniczek za pomocą sznurów starego miodu, dojrzewającego na korzeniach przywiezionych z krajów zamorskich. Nie brakło też zgromadzonej w ciągu dni wielu porcelany, sztucców wykutych z olkuskiego srebra, rozlicznych kryształów załamujących światło słoneczne w tęczę i szkła cieńszego od mysiego westchnienia.

Nad tym dobrem zgromadzonym pierwszy raz od wieków w takiej ilości czuwali dniem i nocą rajcowie miejscy. Ubrani odświętnie w powyciągane z szaf i kufrów przesypanych naftaliną uniformy, przechadzali się statecznie po rynku między, stołami zastawionymi jadłem i napitkiem, połykając od czasu do czasu, mimo woli, napływającą ślinę. Nejednego z nich niejeden raz korciło, żeby sięgnąć po szynkę, oderwać z niej kawał i połknąć, żeby uklęknąć koło beczki, odszpuntować kamieniem kołek i pić piwo do utraty

Przeto na wszelki wypadek noszono z sobą listki piołunu, które na wspomnienie szynki żuto, i niezbyt długie szydła, którymi się dźgano, gdy przechodzono koło beczek.

Zresztą niepotrzebne były piołun i szydła. Przed oczami pilnujących, jak obraz w procesji, zjawiała się Wybitna Osoba. Zapominali przeto o suto zastawionych stołach, splatali ręce na brzuchach i kręcąc kciukami młyńca, przechadzali się statecznie między stołami. Właśnie te splecione ręce, te kciuki chodzące nieustannie w młyńcu sprawiły, że na mięsiwie, na szynkach, a nawet na chlebie siadało coraz więcej much. Poczynając od tych dużych mechatych jak koniki stepowe, przez te średnie świecące jak komety na wiosennym niebie, po najdrobniejsze pleniące się w gnojówce z godziny na godzinę.

Niemal się słyszało wzbierający z coraz wyższym na niebie słońcem powolny rozkład. Musze jaja, żółte, białe, fioletowe w porannym świetle, pękały, sączyły trupi jad w jadło. Rajcowie pilnujący stołów za dnia coraz częściej mieli przywidzenia, że stoły przysadziste, z odziomków dębowych zrobione, chodzą na rojących się larwach, kocących się jadowicie robakach. Zwidywały się im konie padłe nad rzeką, pobojuwiska cesarskie, ryby gnijące w zakąciach wodnych, wodorosty śmierdzące chutliwie pękającą ikłą, bagienka ruszające się wiosennie od lęgnącego się skrzeku. Tylko co stateczniejsi, bardziej odcytani, przypominali sobie, że tak się wszystko rodzi, nawet Bóg, nawet wieczność, i przyglądali się bez bojaźni rozkładowi, przyjmowali go nie jako dopust boży, ale jako rzecz naturalną.

Po pierwszym dniu oczekiwania na Wybitną Osobę gotowane mięsiwo, wędzone szynki, chleby pytlowe, upstrzone wprawdzie przez muchy, pachniały jeszcze rosołem, wędzarnią i chlebowym piecem. Po drugim dniu oczekiwania na Wybitną Osobę skisło mięsiwo, rozeszło się na robakach, na larwach, a szynki, siedzące sobie dotąd najspokojniej na liściach sałaty i pietruszki, trzeba było rozkroić i odciąć nadpsuty tłuszcz. Również chleb zgromadzony w koszach wysechł na słońcu i trzeba go było wymienić. Po trzecim dniu oczekiwania na Wybitną Osobę z zaścielonych białymi obrusami stołów trzeba było pościągać i wyrzucić psom całą szynkę, wszystkie kiełbasy i balerony.

W kościołach modlono się o jak najszybszy przyjazd oczekiwanego, dano na uroczyste msze do okolicznych parafii, wysłano szpiegów i umyślnych posłańców, utoczono krwi z burmistrzowskiego ramienia, żeby z niej odczytać obraz dni nadchodzących. Ale burmistrz nieopatrznie ubiegłej nocy wypił kieliszeczek nalewki i obraz nie był tak klarowny, jak się spodziewać należało. W każdym razie na odczytanej z niego drodze, prócz gniadego konia w czapraku, nie widać było ani człowieka, ani kolasy, ani nieba choćby ociupinę weselszego niż codziennie. Przeto krew burmistrzowską wylano nocą do rzeki i zalecono, zwłaszcza co starszym matronom i niewinnym dziewczętom, wzmożenie modłów.

Tymczasem na stołach ostały się jeno porcelanowe talerze i kute z

olkuskiego srebra sztucze. Wtedy też straż czuwająca na czatach poza miasteczkiem dała znać przez umyślnego, że w otoczeniu świty zbliża się Wybitna Osoba. W pośpiechu wiklinowymi witkami, jedlinowymi gałązkami, miotełkami zrobionymi z gęsich piór spędzono ze stołów wszystkie muchy i na środku rynku zapalono kadzidło. Z jedynej w miasteczku masarni przyniesiono dwa naręcza kielbasy i rzucono na stół. Zapachniało jałowcem. Z piekarni, też jedynej, przytaszczono w koszach wiklinowych kilka bochenków chleba i pokrajano go w pośpiechu w grube pajdy. Odszpuntowano dodatkowo kilka beczek piwa i pitnego miodu.

Gdy stoły na powrót przystrajano gałązkami jedliny i ciętymi pośpiesznie gałązkami mirtu i asparagusa, straż czuwająca poza miastem doniosła przez gońca, że zaszła pomyłka. Zamiast Wybitnej Osoby do miasteczka podążała wataha brunatnych niedźwiedzi. Na rajców miejskich, na burmistrza, na mieszczan zajętych przez wieki kupczeniem, zarzynaniem zwierząt, zacyaniem ciasta, warzeniem piwa, syceniem miodów, szyciem cholewek padł po raz pierwszy blady strach. Przecież wokół miasteczka nie było lasów i od wieków w okolicy, nie było nie tylko niedźwiedzi, ale nawet pomyłonego zbója, sługi bożego lubującego się w cienistej gęstwinie. Nie przypominano sobie też, żeby do miasteczka miał przyjechać wędrowny cyrk czy też przyjść na odpust Cygan z niedźwiedziem.

A jednak niedźwiedzie najwyraźniej szły na miasteczko. Można powiedzieć, że parły co sił w łapach, staczając się po okolicznych lessowych pagórkach pod baszty obronne i rdzewiejące mury. Wystarczyło wejść na kościelną wieżę, a choćby na wyższe dachy domów, żeby się o tym przekonać. Z daleka wyglądało to tak, jakby nagle wszystkie okoliczne drzewa wydały z siebie, zrodziły te kosmate zwierzęta i namówiły je do szturm na białe miasteczko, przypominające pszczelą barć huczącą od ludzkiego mrowia.

Gdy ryk walących w gród niedźwiedzi słyhać było na rynku, rajcowie miejscy i mieszczenie pozamykali się w domach. Gdy niedźwiedzie znalazły się na rynku, rajcowie i mieszczenie wbiegli po schodach na stryszki. Stamtąd obserwowali, co też niedźwiedzie będą czynić. A niedźwiedzie już obsiadły beczki z pitnym i spadziowym miodem. I zanurzając w nich łapy, ssały je długo, pomrukując z lubości. Gdy beczki po miodzie były puste, powstały na tylne łapy i machając przednimi zgromadzonym na stryszkach mieszczanom, wyniosły się z miasteczka.

Przez długi czas rajcowie miejscy nie mogli sobie wytłumaczyć tego niedźwiedziego najścia. Dopiero w kilka lat później wydało się, że ten miód, wyciągnięty z loszków na przyjęcie Wybitnej Osoby, był miodem z królewskich lasów otaczających ongiś miasteczko. A wszystkim przecież wiadomo, że w królewskich lasach zawsze były niedźwiedzie. To i teraz przyszły upomnieć się o swój miód.



## Rzecz o kłótniach

- Spraw, Boże, trawo, spraw, wodo, wygładź wszystkie kamienie, wypłucz szkło potłuczone, opiłki żelaza, Brut kolczasty do imentu zjedz, żebym się z nikim nie musiał kłócić, zbierać słowo do słowa, zapłatać je w cierniowe korony, rozlewać jak żółć i ocet, toczyć z nich noże, sierpy, gnypy, siekierki wszelakie przeciwko bliźnim swoim.

Tak się modliłem, tak modliliśmy się wypasając krowy pod lasem, rozpalając jesienne ogniska, idąc do szkoły, skacząc do głębokiej wody, wchodząc po szyję w kwitnące konopie. Jak ognia, jak żelaza wsadzanego w ogień, jak zwiniętej na gorącym piasku żmii baliśmy się powtarzających się dzień w dzień wiejskich kłótni. Jeszcze do tej pory śnią się nam one po nocach, przerażają jak zmary. Widzimy, jak dwie sąsiadki stoją na trawiastych podwórzach, nabierają wodę ze studni i niby to spoglądając w źrenicę wody, w utopioną w niej gwiazdę, zaczynają coraz głośniej:

- Wodo jasna, wodo przezczysta, wodo gasząca pragnienie, wodo obmywająca ciało, pojąca bydło, przepływająca na wiosnę przez obrazy święte, przez ciało wiszące na krzyżu, a któż z ciebie, wodo, wypłoszył ducha jasności, duszka czystości, iskrę promienistą. Kto cię zasypał rdzą, siwym popiołem, kto napluł w ciebie, żeby z plwociny pokociły się ropuchy, żebyś skamieniała w suchotnicze wapno, żebyś zbutwiała, żebyś się nam zatęchła, żebyś gnęła przez wiek cały, rozkładała się jak padlina, jak diabelskie ścierwo, jak łajno najgorsze wypchane w boleści.

- A widzę cię, widzę, sekutnico, widzę twoje kaprawe ślepie, twój jęzor jaszczurczy, twoją plwocinę wszeteczną, twoje słowo rdzewiejące, mówione tak jak się bździ bezwolnie, twoje przekleństwo gnilne. Przyszłaś nocą, przylazłaś, pokrako, chabeto skudlona, jałówko od razu jałowa, suko liniejąca, kocico strupiasta, macioro ciamkająca, rybo wiecznie śnięta, pociosku szczerbaty dar Boży łamiący, sznurze po wisielcu, strzygo po ojcobójcy, wilkołaku po mordercy, miazgo ściekająca po kopycie Kusego, październu spalony w czeluściach piekielnych, posoko biała po Borucie, szpilko nakłuwająca hostię wiekuistą, łasico wypijająca krew przenajświętszą w kielichy rozlaną; oby Bóg pokarał cię ślepotą, niemotą, głuchotą; aby ci ręce uschły, i lewa, i prawa; oby wystawały z ziemi, matki naszej, i twoje dzieci, wnukowie i prawnukowie potykali się o nie i łamali nogi, i ręce łamali, i wybijali sobie zęby; obyś szczała jak czeźnie łajno na słońcu, kozie bobki w wodzie, krowie placki na błoniu, końskie kule worywane w ziemię, ludzkie rozłazące się na owsikach i glistach; obyś się przemieniła w kocura ściganego wiecznie przez wściekłego psa, w mysz, na którą czyha kot, w ziarnko zatrute zjedzone przez mysz, w kroplę wody spijaną przez ziarnko wdeptane podkutym butem w ziemię, w robaczka nikłego topiącego się w tej kropli; żebyś wyszła od tej choroby na szczapę, na witkę, na badył, na puch

uolotny miotany przez wiatr po nieobeszłej ziemi i żeby cię nikt nie przyjął: ani człowiek, ani zwierzę, ani ptak, ani robactwo wążące do ziemi przed zimą, ani, ani, ani wieczne jak amen.

Te kłótnie trwające przez całe dni, tygodnie, miesiące, lata przerażały nas najbardziej. Chowaliśmy się przed nimi do komory, włączaliśmy na stryszki zasypane sianem, do stajni, gdzie tuliliśmy się do zwierząt, na których, jak żywa, chodziła cała skóra. Ale bywały też kłótnie chłopskie w karczmie po napitku, na jarmarku, w polu. Wiedzieliśmy, że do nich musimy się przyzwyczaić, przysłuchiwać się im niemal nabożnie, gdyż za lat kilka nauka ta będzie nam potrzebna. A zaczynały się one tak:

- Coś mi się widzi, kumie, żeście mi skibę przyorali. Nie będę przysięgał, ale na oko widać, żeście się wgryźli w moją miedzę i poszarпали ją jak wściekły pies. Nie dziwota, kumie, nie dziwota. Ludzie we wsi powiadają, że kły wam porosły jak u wilka, że gdy kładziecie się spać, dębczak gryziecie, żeby je zetrzeć chociaż ociupinkę, żebyście do ludzi byli podobni. Ale widać i to nie pomaga. Zabralibyście się do gryzienia kamieni zsypanych koło drogi na przymy, do kawałków żelaza pogubionych po polach przez konie, wojny i niebiosa huczące od spadających planet. A jeśli i to nie pomoże, gryziecie własne sumienie twardsze od dębczaka, od młyńskiego kamienia, od obręczy na koła. Cała wasza rodzina porośnięta kłami, wilczasta. Bóg was nimi pokarał, odkąd wypędziliście pradziadka na żebry, odkąd wasi parobkowie nie tylko przez dzień cały harują, ale jeszcze w nocy jako psy wam służą, sypiając po budach, naszczekując. Obyście się udławili tą skibą, oby jej wam starczyło za wieczność, oby przemieniła się na waszym grobie w śmiertelną rędzinę, w robactwo, oby was dosięgła w piekle i oplotła jako gad ognisty.

Bywały też kłótnie obywatelskie się bez słów. Nazywaliśmy je kłótniami filozoficznymi. Takich dwóch kłócących się, zazwyczaj starszych gospodarzy, kmieci z dziada pradziada, pojedynkowało się w ten sposób, że starali się jak najczęściej zachodzić do dworu, do księdza proboszcza, nosić nad nim baldachim, rozdawać świece w czasie nabożeństwa, dzwonić sygnaturką. Jeśli któraś ze stron nie wygrywała w tych posługach, jeśli proboszcz wyraźniej nie nadstawiał ucha któremuś ze staruszków, zamieniały się te bezgłośnie kłótnie w kupowanie coraz wykwintniejszych strojów dla kobiet, uprzęży na konie, malowanych bryczek, ba, gazetek ludowych, a nawet kalendarzy i książek rozmaitych. Zdarzało się, że niektóre rody kmieci tylko dlatego umiały się podpisać, czytać książeczkę do nabożeństwa, że się od paru pokoleń żarły ze sobą.

Pamiętamy też kłótnię bez jednego słowa, ale przecieź słyszalną, głośną, chociaż nie mającą nic wspólnego z filozofowaniem. Otóż dwóch ubogich staruszków, którzy przez całe życie żyli zgodnie kolegując z sobą od dziecka, przyświadczając sobie na weselu i na jarmarku, obraziło się nagle na siebie za wspominki nieopatrzone z jakiejś zalecanki. Któregoś dnia spostrzegła wieś, że obywają się bez jednego słowa, nie patrzą na siebie, nie stukają się laska o laskę, nie klepią się po udach i nie chichoczą, jakby ich łaskotała pod piętę

wieczność niewidzialna.

Którejś niedzieli postanowiono ich pogodzić. Cała dorosła wieś wyszła nad rzekę. Przyszli również staruszkowie. Wysztafirowani, w ancugach przywiezionych parę dziesiątków lat temu z Ameryki, w muszkach, stanęli parę kroków od siebie zwróceniem plecami i na komendę podawaną przez sołtysa puszczali "bąki". Pierwszy zaczął dziadek Jakub. A zaczął szczęśliwie i pomyślnie od wystrzału jakby z dwururki. Dziadek Kacper zrewanżował mu się drobną serią z maszynowca. Dziadek Jakub zebrał się w sobie i huknął jak z moździerza. Dziadek Kacper poczerwieniał i poczynając jakby inny temat, spróbował zagrać sztajerka. Dziadek Jakub przeszedł wówczas na polkę. Ledwie polka się urwała, a tu już przeciwnik zadzwonił w mazura. I ten pojedynek, ta kłótnia bez słów trwałaby z pewnością bez umiaru aż do wyczerpania obydwóch staruszków, do palpitacji serca, gdyby nie sołtys, który oddalając się od pojedykowiczów rzekł:

- Równiście sobie, godni. Możecie podać sobie ręce. Wybaczcie, że tak cicho mówię, ale takie dziury powybijaliście w powietrzu, że trudno oddychać.

Po tej najślawniejszej w okolicy kłótni dwóch dziadków było sporo innych, na pieśni kościelne, na ludowe pieśni, na lube pieśni o kochaniu, babskim cieple, na picie siwuchy, zjadanie kiełbasy, na żarliwość w przeklinaniu starosty, wojewody, sanacji, wychwalaniu Witosa, ale już żadna nie przypadła tak ludziom do gustu. Inna rzecz, że w żadnej nie było tyle zapału, gorliwej krzątaniny, zbierania się w sobie.

A teraz? Co tam teraz. Podupadły chłopskie kłótnie. Chyba żeby wliczyć w nie śmiganie na motocyklach, traktorach, samochodach, żeby nie zapomnieć o stawianiu piętrowych willi, poklepywaniu po ramieniu pana nauczyciela, codziennych wędrówkach do powiatu, do województwa, a czasem i dalej, i dalej.

[Spis treści](#)



## Rzecz o świńskich sprawach

- A jakżeśmy wojowali w Bośni - opowiadał dziadek Jakub - jakżeśmy w Bośni wojowali i jak się ta wojaczka skończyła, i we wsi pod sadem na trawie siedliśmy, żeby ociupinę odsapnąć, na oczy przejrzeć, ona wyszła z drewnianego domu. Zaciekało mnie to jej wyjście, bo jeszcze nie widziałem, żeby tak jak ona szedł kos weselny, paw łożący po blaszanym dachu rozpalonym na słońcu, cietrzew tańczący na polanie, rozgrzebujący rapami białą jutrznię do juchy. Podniosłem się na to jej wyjście najpierw na łokcie, na obydwa kolana, na proste nogi i zacząłem stopa za stopą iść do niej.

Szedłem przyciągany przez jej chód, przez jej bose stopy śmigające w zroszonej trawie, pełnej spadających gruszek. Nie mogłem się dość

napatrzeć, nadziwić jej bosym stopom, jakby związanym niewidzialną przędzą w kostkach, kruchym stopom, jeszcze pachnącym winnym moszczem tryskającym z beczki pełnej winogron. Stopy jej sprawiły, że nie widziałem dziewczęcej twarzy ani oczu, nie pamiętam, w jakiej była bluzce, w jakiej spódnicy, nie wiem, czy miała warkocze, czy rozpuszczone włosy. Jak powiadam, patrzyłem jeno na jej stopy wąskie jak te zgniatające łeb gadziny, suche, ciasno związane w kostkach, że wydawało się, otrą się o siebie, a iskry się posypią. I ożył w mej pamięci odpustowy obraz wiszący w domu na białej ścianie, na którym idzie święta Magdalena z wonnościami, żeby namaścić jeszcze węższe stopy z Ewangelii. I chciało mi się zapłakać, upaść na kolana, przytulić się do jej stóp, całować je od małego palca do dużego, od podbicia do kostki, od kostki do pięt, od pięt przez całą podeszwę mokrą od rosy, zieloną od trawy, pachnącą żelazicie winnym sokiem.

A wtedy ona wyciągnęła spod jedwabnej szalówki ręce, na których wisało spore pęto suszonej kiełbasy. Widząc tę kiełbasę przypomniałem sobie, że nie jadłem już trzy dni, że jeszcze wczoraj wygrzebywałem z ziemi rozsypane ziarna kukurydzy, że ścinałem scyzorykiem żółty mlecz i pędy lebiody, że zjedliśmy z chłopakami prawie całą łąkę przylegającą do okopu. A kiedy po tej zjedzonej w nadmiarze trawie, po piątym ataku na bagnety, próbowałem zasnąć, czułem, jak żołądek sam siebie trawi poruszając się we mnie leniwie jak zwierzę, jak wprawiony w ruch żarnówką młyński kamień mielący sam siebie.

Wziąłem z jej rąk kiełbasę i usiadłem z powrotem na trawie, i jadłem dławiąc się ledwie przeżutymi kęsami, i krztusząc się od napływającej ciągle śliny. A gdy przełknąłem ostatni kawałek, zobaczyłem, że nie ma już pod sadem wąskich stóp. I na próżno ich szukałem. Nie było ich ani pod sadem, ani w pobliskim domu, nie było ich we wsi, nie było w okolicznych polach dymiących od pożarów, od wybuchających szrapneli, rozrytych końskimi kopytami szarżującej kawalerii. Byłbym wszystko zwał na karb przywidzenia, sennego zmęczenia, gdyby nie nasycenie i smak czosnku w ustach.

Z Bośni przerzucono nas nad Piawę. Biliśmy się tam z makaroniarzami zakopanymi po szyję w bagnie, przypominającym rozłazący się, rozkładający na upale czarny makaron. A gdy pewnego dnia przestaliśmy się bić, gdy wyleźliśmy z tego czarnego makaronu pełnego szczurów, żab i pijawek i usiedliśmy pod winnicą, zobaczyłem, jak w pobliżu, nad rowem pełnym zielonkawej wody, siedzi dziewczyna z podwiniętą do połowy uda spódnicą i moczy sobie nogi. I znów nie widziałem jej twarzy ani jej oczu, bluzki, podwiniętej spódnicy, jeno jej śniade uda.

Podniosłem się spod winnicy i przytrzymując się witek, gdyż od kilkudniowego głodu miało mną bardziej niż ongiś po wyjściu z karczmy Judki, szedłem do niej, a raczej do śniadych ud, od których jak od miedzianej patelni odbijało się słońce. Jakże one musiały być upalne, jak przytulne, gładkie, z ledwie sypiącym się puszką. I już chciałem uklęknąć modlitewnie, przytulić się do nich całą twarzą, gdy dziewczyna wyciągnęła zza pleców

prawie ćwiartkę pieczonego prosiaczka. Zapachniało majerankiem, kminkiem, imbirem, bobkowym liściem, czarną solą. Wziąłem z jej rąk tę pieczeń, usiadłem na brzegu rowu, opuszczając ubłocone buciory w zielonkawą wodę, i zapominając o dziewczynie, o jej obnażonych udach, jadłem i jadłem, póki nie zaćmiło mi się w ślepiach, póki od przesytu nie zaczęła mnie męczyć włochata jak czarci wypierdek czkawka. A gdy ostatni kęs wepchnąłem sobie do ust palcem, gdy zacząłem oblizywać z tłuszczu ręce aż po łokcie, zobaczyłem, że nie ma już dziewczyny. Ani nad rowem, ani w winnicy, ani za winnicą w oliwkowym gaju szarym, a właściwie cynowym jak woda chlupocząca na bagiennym polu.

Ledwie wojna się skończyła, ledwie w cebrzyku zdążyłem się obmyć z italiańskiego bagna, udało mi się wyjechać za Wielką Wodę do Chicago. Z dębowym kuferkiem, okutym po rogach stalową blachą, z żelazną kłódką, jechałem szifem po dolary. Ale po przyjeździe dolarów jakoś długi czas nie było. Nawet roboty, tej najgorszej, śmierdzącej od gór krowiego łajna, nie było dla mnie w rzeźni. Błąkałem się po mieście z dnia na dzień głodniejszy, nie widząc ani drapaczy chmur, ani parterowych domków na przedmieściach. Wszędzie rósł przede mną chleb. Każdy kamień na drodze, bryła sucha, gazeta zwinięta w szarą kulę były dla mnie pajdą chleba, kawałkiem ogryzionej kości.

Którejś niedzieli wyszedłem poza miasto i oniemiały z głodu siedziałem na pustej prerii, przyglądając się stadom bydła pasącym się w oddali, szykowanym pod nóż. Marząc o befsztyku, patrząc w swój żołądek, nie zauważyłem, że parę kroków ode mnie siedzi murzyńska dziewczucha goła, goluteńka, opalająca się w czerwcowym słońcu. Widzę tę jej nagość czarną, inną od nagości białej, a przecież tak samo kuszącą, tak samo wszeteczną, przyciągającą jak magnes, jak źródło spragnionego. Widzę ją i idę do niej na bałyku, na kolanach, gdyż osłabiony z głodu nie mogę się podnieść na równe nogi. Idę, a trawa szeleści, a jej nagość coraz bliższa czerni się jak żelazo hartowane w ciemnej glinie. A gdy byłem tuż, tuż, gdy już ręce wyciągałem, żeby dotknąć tego ciała, stłamsić w łapach jej piersi strzeliste, ona się podniosła z trawy, uśmiechnęła do mnie i sięgając na oślep obok siebie, podała mi zawiniętą w papier szynkę.

Rozrywałem ją zębami, pożerałem dławiąc się i śliniąc, stękając i pomrukując, śmiejąc się i płacząc z radości, że wreszcie napycham żołądek, to wieczne poruszające się zwierzę, tego włochatego smoka, który mógłby strawić całego barana, całą kamienną górę, żelazną lokomobilę, jeśliby się ją posmarowało odrobinę masłem. A gdy przelykałem ostatni kęs, gdy chciałem się położyć na trawie spocony z wysiłku, nie było przy mnie ani na prerii, ani za pasącym się bydłem murzyńskiej dziewczyny. Zdawało mi się tylko, że step jakby ociupinę poczerniał od jej nagości.

Dopiero gdy wróciłem z Chicago, gdy mi się poszczęściło, gdy przywiozłem sporą garść "zieleńców", zwiastujących nawet w zimie wiosnę, gdy kupiłem parę mórg i dom krępy wysadziłem na wieś całą, na zazdrosne



sny całej parafii, a także dworu, gdym zaczął bywać na zabawach, festynach i weselach, to i owo zobaczyłem, na tym i owym rękę położyłem, przytuliłem się do tego i owego i ono ode mnie nie uciekło, pomyślałem, że babskie ciepło, nagość dziewczęca, światło idące z rąk i z nóg bosych najlepiej się widzi, gdy się jest sytym. Jako świadka tej prawdy wielkiej jak cały żywot ludzki mogę podać samego siebie młodziutkiego, wędrującego po świecie z karabinem, szukającego pracy, od którego nie uciekał ani pies, ani kot, ani płochliwsza od nich dzierlatka, ale tylko wtedy, gdy Jakubek miał brzuch zaokrąglony, gdy w nim nie grała na pustych kiszkach cygańska kapela.

Prawdzie tej też ochotnie przytaknie głową i kopyścią Jantoska moja, z którą nie tylko kasze rozmaite jadałem, kołacze z twarogiem, ale nejedno wesele przetańcowałem, niejedną noc do białości w koniczynie suchej przeleżałem.

## [Spis treści](#)



## Rzecz o znajomku

- Kiedy jeszcze mieszkałem za wsią, z dala od ludzi i w pobliżu zwierząt, miałem znajomego, człowieka niespokojnego, nieustannie zmyślającego dyrdymałki rozmaite. Najwięcej tych zmyśleń, opowieści, gadek rozlewnych nachodziło go jesienią i zimą. Wiosną i latem nie odróżniał się niczym specjalnym od pozostałych ludzi pracujących w polu, przycinających drzewa w sadach, poprawiających pasieki, latających zagrody. Dopiero późną jesienią, zimą, kiedy pępowina, naczynia limfatyczne wiążące nas z ziemią, z przyrodą całą rozluźniały się wyraźniej, dziwaczał coraz bardziej. Wprawdzie pozostali moi znajomi też dziwaczeli, ale nie rzucało się to tak w oczy.

Mój znajomy zaczynał od tego, że po zasianiu oziminy, wykopkach i zaoraniu ziemi na zimę, przebierał się co rano w tużurek i melonik kupiony na tandecie i zdejmując z gwoździa mahoniową laseczkę ze srebrną gałką, wybierał się na spacer do pobliskiego lasu. Wyprostowany, stawiający drobniutkie kroczki w lakierkach, podśpiewywał sobie co frywolniejsze piosenki ze stołecznych kabaretów. A gdy się już znalazł w odludnych łąkach, recytował z pamięci wiersze dawne i wiersze nowe, powiadające o tym, że wszystko przemija.

Jakby na potwierdzenie sensu tych wierszy zjawiał się przed nam brzozowy zagajnik z osypującymi się liśćmi, a nad nim nitki babiego lata miotane przez wiatr. Jeszcze nie tak dawno zielona łąka wędła pod jego lakierkami, świeże kretowiska czuć było zimowym snem, a tu i ówdzie pasące się krowy, mokre od parannej mgły, od nieustannie siąpiącego kapuśniaczku, spozierały w zacierający się widnokres wilgotnymi do wzbierającej tęsknoty ślepiami. Na ich rogach, jak na krosnach żywych, przedło się powoli i dostojnie złoto jesiennego powietrza.

Do nich, do tych krów mój znajomek przemawiał zgrabnie zapamiętanymi fragmentami wyjętymi z pism filozoficznych. Zdarzało się też od czasu do czasu, że zapominając się wspierał na leżącym zwierzęciu prawą nogę uwięzioną w lakierku i wygłaszał pełnym głosem co znacznieszą częsteczkę z zapamiętanego przemówienia powiatowego dżalacza. Krowa, nie przygotowana na głos tak ogromny, zrywała się na równe nogi, śmajdała ogonem, a jej krzywe do tej pory rogi wyprostowywały się z przerażenia. Znajomy mój, odskakując w bok, szedł z resztką jego przemówienia do lasu i przystając nad jamą borsuczą wykrzykiwał je w rozkopane przez zwierzę trzewia ziemi. Borsuk, szykujący się już do zimowej drzemki, budził się na chwilę, wystawiał swój spiczasty łeb z jamy, ale zobaczywszy, że to nikt z powiatu, zatykał otłuszczonym zadkiem jamę, puszczał wiatry smrodliwe, że wędły co niższe sosenki, wchodził, a raczej wsuwał się majestatycznie w jamę i układał z fukaniem do zimowego snu.

Równiutko z pierwszym śniegiem, ściągniętym przez mróz, znajomy mój zrzucał tużurek, melonik i lakierki, wieszając na gwoździu mahoniową laskę. Przebierał się w barani kożuch wywrócony włosem na wierzch, w futrzaną czapkę zjedzoną przez mole i w stare walonki wygrzebane ze stryszku. Przepasany szerokim rzemieniem, wyciętym z surowej końskiej skóry, brał i do ręki dębową maczugę nabijaną krzemieniami i całymi nocami czatował u wylotu powiatowej drogi prowadzącej w las. Z nudów, z coraz głębszego smutku, z żalości niezmierzonej jak naddunajecka dolina zasypywana przez śnieg znajomy mój udawał zbója Madeja.

O czatach tych rozniosła się wieść po całej okolicy. Ludziska siedzieli w domu, nie wyjeżdżając do okolicznych miasteczek nawet po wódkę. Opowiadano dzieciom nie mogącym usiedzieć spokojnie na przypiecku, że zbój Madej prócz maczugi nabijanej kamieniami, hufnalami ma również taką maszynkę żelazną bijącą niegrzeczne dzieci, pławiącą je w stawie, wysyłającą z krowami na jesienne łąki, odbierającą wszystkie słodyczne, pukawki i korkowce kupione na jarmarkach i na odpustach.

A tymczasem mój znajomek, nie wiedzący nic o szerzących się po wsiach opowieściach, całymi godzinami czatował pod świerkiem zasypanym śniegiem na przejeżdżającego bryczuszką księdza proboszcza, żeby wymusić na nim za pomocą maczugi, majchra zrobionego z kawałka kosy, moczonego w czerwonej farbie, w zwierzęcej jusze, rozgrzeszenie za zwiezione latem z rządowego lasu okrągłaki na budowę domu, za przyorane parę skib z pola sąsiada, za wyludzenie od świętego Rocha, z pomocą mszy i łapówek w postaci kogutów, jajek i oselek masła, dawanych wikaremu, większych niż w całej wsi urodzajów. Zabrał też proboszczowi cały sznur po wisielcu, pociął go na kawałki i rozdał między znajomych, biorąc za kawałek pół litra.

Tam też, w rządowym lesie, wychodząc spod przydymionego śniegiem świerczka, przydybał prezesa koła łowieckiego i chlastając majchrem po jego baranim kożuchu, wymusił na nim nie tylko dubeltówkę, ale cotygodniowy okup w postaci kilku zajęcy, bażantów, kuropatw. Z brewerii, z rozpierającego

go i wyraźnie bodącego mięsiwa napadł tuż przed Wilią kolędników idących nie tylko z turoniem, ale z Bogiem zrobionym z akacjowego drzewa, pobił Trzech Króli wędrujących do tego Boga i zabierając im dary bogate, spoił ich gorzałką do nieprzytomności. Pijani, zataczając się od rowu do rowu, śpiewali na cały głos gminne piosenki, które czuć było końskim nawozem i świńskim moczem.

Ale nie było to jeszcze to, na co od pierwszego śniegu polował. Przeto nadal całymi nocami przesiadywał pod świerczkiem zasypanym śniegiem, popijając dla rozgrzewki bimber z piersiówki zaprawiony miodem, zagryzając od czasu do czasu co tylko wyjętą z wędzarni kiełbasą. Którejś styczniowej nocy, widnej jakby w powietrzu zapalono rozlany spirytus, zobaczył na powiatowej drodze w głębi lasu mające dwa dereszki zaprężone w sanie wyścielone baranicą. Dzwoniły dzwonki zawieszane u chomał, z nozdrzy końskich szła oszroniona para, a nad tym wszystkim górował wysoki głos naczelnika gminy. Wszedł nasz znajomy, nasz zbój Madej, spod świerczka na powiatową drogę i chowając za siebie krzemienną maczugę, czekał na rozkraczonych nogach na zbliżające się sanie. Gdy końskie pyski, całe w sędzielaku, były tuż, tuż, wrzasnął przeraźliwie i łapiąc za lejce wypuszczone z rąk naczelnika, zatrzymał sanie. Naczelnik, widząc nad sobą krzemienną maczugę, wykosił się spod baranicy i padając na kolana przed zbojem Madejem, jął go błagać o życie.

- Nie o życie tu idzie - krzyknął zbój - jeno o deski na szalunek domu, o cement i dachówkę.

- Panie mój, obywatelu zboju - szepnął blady jak skrzepnięty śnieg naczelnik gminy - wszystko, wszystko będzie, i deski jak się patrzy, i cement, i dachówka biała lub czerwona.

Po tej rozmowie już spokojny o życie naczelnik i gminy i spokojny o deski zbój Madej dopili resztkę bimbru zmieszanego z miodem i rozeszli się do domów. Wprawdzie jeszcze później zbój Madej czatował pod ulubionym świerczkiem na kogoś z powiatu czy nawet z województwa, żeby się upomnieć o lepszą drogę i obiecaną kilka lat temu szkołę, ale jakoś nikt stamtąd do naszej wsi wybierać się nie kwapił. Przeto jeno dla rozgrzewki przyskrzypił któreś nocy trzech złodziei, wracających z wody ze skradzionym widokiem na przeszłość i przyszłość (była tam taka fabryczka akurat tych widoków), ale nawet im ich nie zabierał. Rozluźniony już był w sobie, ochwierutany ze złości, nijaki.

Tydzień później zrzucił z siebie strój zboja i na powrót stał się moim znajomkiem. Zresztą był już najwyższy czas, gdyż śniegi tajały na coraz cieplejszych polach, całymi płatami zjeżdżały ze strzech, a obnażona ziemia jęła dymić rozmarznętym ciepłkiem, dopraszającym się o bronę i pług. Nad szerokimi polami zjawiał się pierwszy skowronek, ta sygnaturka kmieca wróżąca początek ciężkiej roboty. Do niej, zakasując rękawy, podwijając nogawki cajtgowych portek, szykował się mój znajomek.



## Rzecz o chłopskim szczęściu

- W dzieciństwie słyszałem, że dawnymi laty istniało szczęście chłopskie. Toczyło się to szczęście na kształt koła od wozu czy też bochenka chleba z pagórka na pagórek, z doliny w dolinę. A tocząc się przystawało przed każdą, nawet najuboższą chatą, całe we wstążkach odciętych z tęczy i wesel, zaplecionych między akacje szprychy, z nożem szerokim wbitym w pępek chleba, żeby go można było na podorędziu pokroić i rozdać po kromce głodnym. O tym szczęściu opowiadał dziad podkościelny, niegdysiejszy bogacz, którego majątek skapiał jak gromnica, rozlał się, jakby był uciętany z wszy, gdy mu kartacz urwał nogę na cesarskiej wojnie, a żona, młoda jeszcze i pieszczotom chętna, przepędziła go z domu na żebrę.

Odtąd śniło mi się po nocach, że jadę na tym kole w kraje nieznane, gdzie na drzewach rosną szewrowe trzewiki, cąjgowe ubrania, witosowskie koszule, całe naręcza kielbas, głowy cukru. Siedząc na tym kole widziałem dalej, niż może dojrzeć zwykłe oko ludzkie. Domyślałem się przeto, że w moim ojcu mieszka nie tylko wojna cwałująca na koniach, strzelająca z kartaczy, ale jest też śpiewające wesele ze stołami uginającymi się od kołaczy, że w dziadku moim prócz pańszczyźnianego pręgierza, stojącego koło świętej lipy, jest tytoń fajkowy i tytoń turecki, nie brakuje malagi ani rumu, ani komiśnego chleba i słoniny grubszej niż scyzoryk.

Aliści ledwie słońce, to piastowskie koło, uplecione z kłosów i traw rozmaitych, przesycone miodem, zapadało się w wody, zesekaliwałem z tego koła szczęśliwego. Ono zaś, taczając się po ciemku, pomyliło wiejskie drogi wybite po synkle w piasku, rozkopane do podskórnej wody krowimi racicami, rozgrzebane przez kury, i zamiast obok chłopskich chałup jęło coraz częściej przystawać obok dworów i pałaców. Nie pomagały modlitwy, pacierze wyniesione z kościoła, z cmentarnej kaplicy, zaklęcia rosnące dotąd po lasach, pamiętające czasy pogańskie, wróżby jeszcze starsze, prawie tak stare jak bóg każdy.

Szczęścia nie było w naszej, wsi, w sąsiedniej. Szukano go po studniach, po rzekach, stawach i jeziorach, jak się szuka latem potopionych dzieci, ale nie było go w wodach płytszych, a te głębsze akurat tego lata pogubiły dna i dymiło się z nich, że ludzie zawrotu głowy dostawali, głupieli. Próbowano za tym szczęściem łązić po najwyższych drzewach wspinać się do nieba, gdzie miał je zanieść nie wiedzący, co zabiera, archanioł Gabriel. Ludzie co mądrzejsi powiadali przecież, że to szczęście jest podobne do zwiastowania, nie dziwiła też nikogo pomyłka archanioła Gabriela. Złośliwi twierdzili, że to szczęście, jak królika czmyhającego po nocy z uchylonej stajni, zadusiły psy, rozszarpały, zjadły do ostatniego kłaczka.

Może było tak, może inaczej, jedno jest pewne, od tej pory nigdzie nie można było spotkać toczącego się koła. Przeto ludzie nie mogąc się

doczekać, kiedy szczęście przytoczy się do nich, żenili się coraz częściej, schodzili po nocach, przywierali do siebie ciałem i duszą. Z tego przywierania rodziły się dzieci i podobne do nich, bo też wiecznie głodne, pacierze. Czasem z tego przywierania rodziła się śmierć. A to wtedy, gdy jedno z przywierających zapomniało wyjąć z zanadru noża, gnypa, bagnetu. Wtedy wywożono zmarłego razem ze śmiercią za wieś, zakopywano w piasku i oszukując szczęście, pito wódkę, śpiewano pijane pieśni, wywlekając ze zmarłego cosik takiego Inianego, przeżywanego duszą, a z żywych skamlenie, nazywane śpiewaniem.

Kiedyś na jarmarku spotkałem chłopca mądrego, małomównego, że dębowy odziomek wyrwany Dunajcowi wydawał się gadułą. Usiadłem z nim na wytartym progu karczmy z półlitrowką między kolanami, z kielonkiem ciętym ze szkła grubego i piłem dopóty, dopóki nie wygadał przede mną rozumu swojego przyrodzonego i mądrości wszystkich pozbieranych przez żywot cały. Chłop ten, który nie skumał się nigdy z żadną babą, panem, księdzem, bogiem, diabłem, powiadał, że chłopskie szczęście to kozie bobki rozsypane po błoniu. Mądryś, to schylisz się po jeden, do ust włożysz, gdy nikt nie widzi, rozgryziesz, na języku potrzywasz, pożujesz. I nie trzeba nawet przetykać, żeby wszystkiego się o szczęściu chłopskim dowiedzieć.

Chłop ten mrukliwy, nie lubiący grzebać się w słowie, twierdził, że o szczęściu chłopskim gadają tylko ci, którzy chcą omamić wieś, oszwabić. Oni podburzyli chłopca przeciw zwierzętom, zwierzęta przeciw trawom, trawy przeciw ziemi, ziemię przeciw łajnu wydalaniem w boleści. A wystarczyło siedzieć w lesie, nad wodą, i palcem nie kiwnąć, żeby miody spijać ściekające z dziupli, pędy wodne żuć, korzonki pogryzać, owoce drobne otrząsać. Zachciało się człowiekowi zaznać, jak smakuje ciało brata młodszego, zwierzęcia, i połamał je kołkiem, zatłukł kamieniem. Zachciało się chłopcu chleba najeść do syta. Zboże zasiał w ziemi, sierpem je w pień wyciął, cepami wytłukł z kłosów, połamał kosteczki ziarniste na kamieniu i najadł się ciała roślinnego, nałykał.

A jak się nałykał, najadł, zamiast siły spodziewanej jęła się w nim lęgnąć śmierć. Początkowo była ona nie większa od komara brzęczącego dokuczliwie nad uchem, od ćmy objającej się o szkiełko lampowe. Ćmiło cię, człowieku, coś za potylicą, ciemniało za żrenicą, bulgotało w trzustce. Ale nie zwracałeś na to uwagi. Dopiero gdy ciało ci się postarzało, pokurczyło, pofałdowało, że skóra na twoich członkach chodziła luźniej niż na psie, wspomniałeś brata młodszego zjedzonego na weselu, przypomniałeś sobie ciało roślinne zmielone, w piecu upieczone, przełknięte na zawsze.

Po ożenku spotykałem jeszcze sporo ludzi statecznych, rozumnych, gadających o chłopskim szczęściu. Poniektórzy z nich nawet je od czasu do czasu widzieli na wiosennym polu, oczyszczonym z omamienia, z chorób zbożowych i ludzkich przez pierwszą burzę z błyskawicami. Jak ta sierotka tylekroć opiewana w dziadowskich pieśniach przestępowało z bosej nogi na bosą stopę, podkurczało ją czerwoną jak u boćka pod siebie, pochlipywało

zasmarkane, ale nikt się koło niego nie zatrzymywał, żeby je pogłaskać po głowie, zabrać do domu, napić mlekiem prosto od krowy.

Gdy ożeniłem się z Jantoską i dzieci nam się sypnęły, sam zacząłem tego szczęścia szukać. Ile ja pól i łąk schodziłem, ile lasów przeszukałem za nim. Ale ono ciągle przede mną uciekało. Już, już mi się zdawało, że je trzymam w garści za skrzydło, za ogon, za łapę, za skórę na grzbiecie, za witkę czerwoną, za gałąź palczastą, za rękę wążutką jak u spisującego słowo Boże, ale ono nagle potrafiło się przekopyrtnąć, przekabacić, przepoczwarzyć i czmychnąć w mysią jamkę, w rankę na dłoni, w dziurę po gwoździu. I nie znalazłeś sposobu, żeby je stamtąd wyciągnąć szydłem cieniutkim, drucikiem rozpalonym do czerwoności, jakim się wyciąga duszę struchlałą z panienki sprzedanej bogatemu wdowcowi.

Którejś niedzieli wpadłem do izby z takim wrzaskiem, z takim drzwi trzaskaniem, z takim zapomnieniem dusznym, żem słowa przez pacierz cały nie mógł wyrzec, że je już mam, że je zdybałem. Akurat tej niedzieli na lipach podworskich, rosnących koło drogi, spotkałem kilka rojów pszczelich. Oblepiły one całe gałęzie, huczały jak basetle i zbierać się dały gołymi rękami, nawet bez okadzania dymem. Zebrałem je też w parciane worki, powsadzałem do uli, oswoiłem, na miód się ogromny szykowałem. Aliści przyszła zima okrutniejsza niż zwykle, wymroziła pszczoły, wydusiła do ostatniego pnia. Nie spróbowałem ani kropli miodu, nie ulepiłem z pszczelego wosku ani jednej świeczki.

Przeto dałem pokój poszukiwaniom dalszym. Jak mój dziad, jak pradziad orałem ziemię, matkę naszą, siałem w nią ziarno, kosiłem zboża. A gdy mi się cniło w długie noce jesienne, w zimy białe, sam do siebie mówiłem gadki o tym szczęściu jadącym na kole ustrojonym przez wsie nasze, przystającym koło każdego domu, żeby podzielić się chlebem. Później te opowieści umajone mirtowo przekazywałem dzieciom moim podrośniętym, a od czasu do czasu wsi całej zbierającej się w mojej izbie na wyskubkach, na gadkach całonocnych.

[Spis treści](#)



## Rzecz o księdze łowów

- Wyjawszy mieszczan zasiedziały z dziada pradziada w naszych miastach zgrzebnych, inteligentów parających się piórem i liczydłem, nie spotkasz w kraju naszym słowiańskim człowieka, któremu nie drgnęłoby serce na widok boru podszytego płową zwierzyną. Nie spotkasz też męża statecznego, kawalera szykującego się do żeniaczki, a nawet chłopca ledwie opierzonego, który przeszedłby obojętnie obok wody rozlanej szeroko, obok rzeki pomykającej bystro po kamieniach, rozlewającej się jak pacierz wiekuisty po nieobeszłej równinie. Drgnie w nich, na pewno drgnie dusza na

widok ryby stojącej nieruchomo w wodzie, jak ogromne wrzeciono, na które nawija się powoli, aczkolwiek nieustannie, wieczna nić snu. Można więc śmiało rzec, i że jest w nich utajona gotowość na przyjęcie, na czytanie księgi łowów. Nie wiadamo tylko, czy ta księga istniała kiedykolwiek, czy została spisana piórem I spadłym z zimowego nieba, wyhaftowana nitką szczerozłotą na białym Inie porannej łąki ściągniętej przymrozkiem, czy też ocalała z niej tylko jedna kartka, jak ze starego pamiętnika spalonego przez wojny, rozniesionego przez szable i piki. Ano zobaczymy.

Nie dziwota, że kogo byś nie tknął w zimowe czy też jesienne wieczory, każdy opowie ci o szaraku przydybanym w ogrodzie na ogryzaniu owocowych szczepów, o rogaczu podchodzącym do stodólek, z których wyłazi siano przeciągające się we śnie, o jeleniu niosącym między rogami obraz Matki Boskiej, Piłsudskiego, Witosy. Co młodsi, nie pamiętający już Witosy i Piłsudskiego, opowiadają, że jeleni niośli między rogami portret naczelnika gminy, powiatu, województwa.

Właśnie te jelenie, niosące między rogami rozmaite portrety, podchodzące zimą pod nasze wsie i miasteczka zasypane śniegiem po okapy domów, są symbolem dawnych opowieści o łowach, o zwierzynie zamieszkującej nasze lasy słowiańskie, marzenia nasze myśliwskie, tajemne drgnienia serca polującego nieustannie, nasze dusze szeptające w drzemce, że nie wszystko jeszcze stracone, zabite żelazem, betonem, cegłą, asfaltem. Że wystarczy wyjść w przestrzeń poranną zasypaną po kolana świeżo spadłym śniegiem, aby z tropów zwierzęcych wietrzyć rozsiane piżmo wiodące do lasu, do leśnego parowu, do bajorek nigdy nie zamarzających, pochrzających, taplających się ogromnym miesiączkiem w pełni i jeszcze większym od niego odyńcem.

Usta nasze, śpiewajcie psalmy, drgnijcie dusze nasze, zasypane po siwe żrenice pyłem codziennym i kurzem od litanii ogromnej, na której zapisane są pazurkami, zgubionym piórem, racicą, kopytkiem, posoką przypominającą czerwony różaniec pierwsze zdania księgi łowów. Sprawcie, niebiosy, żebyśmy je mogli czytać powoli, sprawcie, żeby ani jeden, człowiek nie wyszedł tego ranka przed nami i nie zdeptał walonkami tych słów wygniecionych w śniegu. Niech zostaną na nim na zawsze. Niech je słońce wtopi głębiej, a mróz utwali jak w siwym żelazie.

Po tych śladach, a w gruncie rzeczy po słowach owej księgi łowów wtopionych w śnieg, po mchu wystającym spod lodu, zamarzniętym na kość, łatwiej nam będzie dojść do lasów dawnych, do borów, do wód przeświecających przez bory jak małe planety. Albowiem w owych czasach bór, woda rozlana szeroko, łąka podbita nie tylko trawiastym puchem, ale również zajęczą sierścią, piórami ptaków rozmaitych, były ostatnim egzemplarzem księgi łowów, z której można był czytać do woli, na wyimki, i myśliwy był kontent, i gromadka koło ognia, słuchająca myśliwego, wierzyła w każde jego słowo.

Zresztą, jak mi nie wierzycie, wstąpcie do kościółka naszego

drewnianego, pooglądajcie sobie witraże drobne przedstawiające wiele stronic z tej pradawnej księgi łowów, kiedy żył nie tylko niedźwiedź borykający się z dębem, tur próbujący wziąć na rogi wrośniętego w jodłę światowida, ale również jaszczur, na którego do tej pory na próżno poluje święty Jerzy i sumienie nasze, ciągle zmieniające łuskę, ciągle nieuchwytnie dla słowa Bożego.

A jedna ze stronic tej księgi łowów zaczynała się tak:

"I wyszedł pan jesienią złotą w pole ogromne, po widnokres drewnianą sochą zaorane. A za tym polem stał bór jesienny i jak żubr raniony oszczepem krwawił. Nad borem siwy sokół krążył, a nad sokołem kołowało, przerzucając się ze skrzydła na skrzydło, jesiennie niebo, Małe jak mleko, patrzące na wszystko zaciągniętą bielmem źrenicą słońca.

Przeszedł pan pole, przeszedł bór i wyszedł nad wodę ogromną, która w brzegach piaszczystych kołysała się jak kolebka pradawna. Spojrzał pan na wodę upierzoną, usianą gęsto przez ptactwo rozmaite, iż zdawało się, że lada chwila poderwie się do lotu. Z łabędzi pływających po niej, z cyranek, cyraneczek, krzyżówek, łysek wybrał pan gęś młodą, jako żagiel popielaty koło brzegu pływającą. A wybrawszy zdjął łuk z ramienia, wyjął strzałę z kołczana żelazem okutą i na cięciwie napiął. Strzała, jak struna skrzypiec podcięta nożem, jak niewinna modlitwa strzeliście śmigająca w niebiosy, w powietrzu jasnym zaśpiewała cieniutko, zajęczała. Zerwał się z wody ptak przeszyty, zagęgał, zatrzepotał skrzydłami i sypiąc pióra na powietrze jesiennie, na wody zrywające się razem z nim do lotu, u stóp jego upadł kamieniem upierzonym. A strzała, lecąca nad wodą jeszcze bardziej teraz upierzoną, przeszła na wylot jednego i drugiego żerującego szczupaka i szybując dalej nad wodą utkwiała na drugim brzegu we łbie wierzby stuletniej.

Żal się zrobiło panu strzały śmigłej. Przeto podniósłszy z ziemi gąskę zamierającą, wyłowiwszy z rzeki szczupaki ustrzelone, przerzucił przez ramię łuk i obszedłszy jezioro dookoła, znalazł się pod wierzbą. Jednym szarpnięciem wyrwał strzałę z wierzbowego łba. Spojrzał na ostrze z żelaza kute, na bełt z wiązu wycięty. Gęsi puch, łuska rybia trzepotały się na nim nie chcąc ulecieć w powietrze. Zdziwiło to pana niepomiernie. Palcem po bełcie przejechał, palec oblizał. Ani chybi, dzikim miodem spadziowym był bełt posmarowany. Spojrzawszy na wierzbowy łeb, spostrzegł, jak z jamki po grocie kropla po kropli cieknie miód ciemny jak smoła. A miód, wiadomo, napój przedni, jako ambrozja święta czczony. A rozburzenie barci żywej, strzałą przebicie, z rozkazaniami królewskiego karane było gardłem, jak zabicie kmiecia, podobnego do barci, na królewskim polu pracującego.

Przeto rzuca pan ptaka, rzuca dwa szczupaki, łuk na gałęzi wieszka i po wysoką trawę się schyla, żeby ranę broczącą miodem zatamować. Aliści zamiast garści trawy w jego zaciśniętej dłoni trzepoce się zając za słuchy ujęty i jak dziecko co tylko narodzone popłakuje, wrzeszczy wniebogłosy. Rozsierdzony pan jak nie weźmie, jak nie praśnie szarakiem o ziemię, matkę naszą rodzoną. Szarak, przekopyrtnawszy się przez łeb, w pole